

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 54

15 września, 1943

Cena (Price) 1/-

PONAD KONIUNKTURĄ I POZA DOKTRYNĄ

POMÓWMY o obozie narodowym. Ale nie z punktu widzenia taktyki politycznej czy, pożałujcie, wewnętrznego stosunku emigracyjnych, tylko z jednego punktu widzenia, z jakiego na to zagadnienie warto patrzeć, z punktu widzenia mianowicie polityki Polski. Krótko i z dużej litery: Polski.

Jedną z najbardziej charakterystycznych i najbardziej ujemnych cech życia polskiego jest jego dorywczność, przypadkowość, brak ciągłości i konsekwencji. Ktoś gdzieś zaczyna jakąś pracę społeczną, poświęca się jej bez reszty, zżera się, niszczy, znika ze sceny. Za ileś lat ktoś inny z innej strony rozpocznie na nowo w innych warunkach i w nieco zmienionej formie tę samą pracę i też jej nie rozwinię do końca, nie stworzy nic coby go na dobre przetrwało. Jest w tym i wada słynnej polskiej niestałości i wina dramatycznego umiejscowienia Polski w świecie. Od paru wieków dorobek materialny, a w znacznej mierze i kulturalny, każdego pokolenia polskiego jest niszczone. Naród nasz nieomal że nie posiada instytucji.

W szczególności nie posiada trwałych instytucji politycznych. W ilu szkołach myślenia, w ilu różnych obyczajach życia publicznego kształcili się Polacy ostatnich kilku pokoleń. A przecież dla życia narodu te właśnie szkoły myślenia i obyczaju politycznego są ważniejsze niż konstytucje, urzędy i uniformy.

Naśladownictwa ustroju angielskiego w Europie nie powiodły się, (było ich bardzo wiele przez cały wiek XIX-ty, po pierwszej zaś wojnie światowej naśladowały go, przeważnie w odmianie francuskiej, prawie wszystkie państwa europejskie) dlatego, że wzorowano się na urządzeniach zewnętrznych, a nigdzie nie dało się przeszczepić podstawy i istoty tego ustroju: systemu dwupartyjnego z jego atmosferą psychiczną i z jego subtelnościami powiązaniemi.

Partie polityczne Kontynentu były albo tworami koniunkturalnymi, mającymi na celu udział w eksploatacji władzy na rzecz takich czy innych grup ludzkich, albo zespołami doktrynalnymi, które łały się: bądź gdy doktryna w zetknięciu z życiem bankrutowała; bądź też, rzadziej, gdy postulaty doktrynalne zostały spełnione i niczego nie rozwiązywały zasadniczo; bądź wreszcie, co

zdarzyło się parę razy, opanowywały państwo, podporządkowywały je doktrynalnym celom i pchały, lub pchają wciąż, od cierpienia do katastrofy. Ludzkość zrobiła straszliwe doświadczenie w ostatnim wieku. Chciano zastąpić polityką religię, dać odpowiedź na wszystkie problemy ludzkie w postaci doktryny społecznej i zbudować naukowo-polityczny raj na ziemi. Zbudowano parę piekieł. To właśnie była rola doktrynerstwa politycznego, którego piękne owoce podziwiamy. Zdaje się, że po naszej epoce pozostanie ludziom na długo zasadniczy wstręt do wszelkich doktryn społeczno-politycznych w ogóle.

Obóz narodowy polski nie był nigdy ani partią koniunkturalną, ani ruchem doktrynalnym. Dlatego może powstawało na jego temat tyle błędnych poglądów, że nie mieścił się w ramach, do jakich ludzie byli na Kontynencie przyzwyczajeni.

Istotą historycznych ruchów politycznych nie jest ani posiadanie jakiegś niezmiennego przez pokolenia księgi świętej, jakiegoś politycznego Talmudu, ani też reprezentowanie określonych interesów społecznych. Istotą takich ruchów jest stały stosunek do sprawy społecznej, do swego narodu, jest szkoła myślenia politycznego ciągnąca się poprzez pokolenia, jest kulturowanie pewnego typu cywilizacji w sposób wybitniejszy, niż gdzieś indziej. Idee rzucają wybitni ludzie. Ruch polityczny tworzy kulturę polityczną.

W życiu narodu na czoło zagadnień wysuwa się w każdym pokoleniu nowy problem, lub przynajmniej nowa postać jakiegoś wielkiego problemu. Historyczny ruch polityczny nie żyje dla jednego problemu i nie kończy się z chwilą jego zaniknięcia. Ruch polityczny nie wyszukuje sobie problemów, lecz dostrzega je wczasy i stawia im czoło. Gdy wysuwa się nowy problem naczelny, ruch ulega przeobrażeniu wewnętrznemu. I po tym właśnie poznaje się ruch o zakroju historycznym, że potrafi się przeobrazić i przestawić do pracy nad nowym problemem.

Obóz narodowy polski powstał przed przeszło pół wiekiem. Właśnie w tych dniach przypada pięćdziesiąta rocznica jego nowoczesnego zorganizowania. Wywodził się on ze starej organizacji romantyczno-emigracyjnej. Zerwanie z ośrodkami emigracyjnymi, jakie nastąpiło przed pięćdzie-

sięciu laty, nie było zerwaniem organizacyjnym tylko, było zerwaniem psychicznym, było stworzeniem nowej szkoły myślenia politycznego, pierwszej samodzielnej szkoły polskiej od siedemnastego wieku. Było zerwaniem z liczeniem na koniunkturę międzynarodową i na przewroty społeczne, a zwróceniem się do tworzenia własnej siły narodowej.

Pierwszym wynikiem tej nowej postawy psychicznej było przystąpienie do dominującego wówczas problemu narodowego.

Problem ten był nad wyraz tragiczny, tak tragiczny, że z trudnością przychodzi go nam zrozumieć. Powstanie styczniowe r. 1863 było nie tylko katastrofą militarną i polityczną. Wykazało ono, że samo dalsze istnienie narodu polskiego stoi pod znakiem zapytania z powodów wewnętrznych. Uznało ono, że narodem w sensie uświadomienia politycznego jest tylko szlachta i słaby stan mieszczański, że lud wiejski jest politycznie na sprawę polską obojętny. Rzecz taka, drugorzędna w wieku siedemnastym, w drugiej połowie dziewiętnastego groziła katastrofą, jakiej nie zdołałyby zadać żadne ciosy wymierzone zzewnątrz. Uświadomienie polityczne ludu, te słowa, które dziś przywodzą raczej poczciwe wspomnienie zapachu lawendy i szumu turniur, były wtedy niemniej ważne niż w naszych czasach decyzje pobierane w przededniu Drugiej Wojny Światowej, a może nawet były ważniejsze od wszystkiego, co my w życiu zrobić możemy.

Ruch narodowy polski zmierzył się z tym problemem. Stąd jego nazwa Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego. Słowo demokracja miało wówczas treść bogatą i dramatyczną: oznaczało ocalenie narodu przez unarodowienie ludu. Gigantyczna praca została dokonana w ciągu jednego pokolenia, choć nie została w jednym pokoleniu jeszcze bynajmniej zakończona. W każdym razie od chłopów roku 1863-go do chłopów roku 1920-go przeskok jest nieprawdopodobnie wielki. Nie byłby on możliwy bez Narodowej Demokracji.

Zanim wszakże ten problem został w pełni rozwiązany, wcześniej niż można się było spodziewać, stanął przed narodem polskim problem nowy, problem wojny europejskiej. Pierwszy w Polsce, a jeden z pierwszych w Europie, dostrzegł konieczność konfliktu światowego w krótkim czasie, już w pierwszych

latach bieżącego stulecia, i wyciągnął z tego wszelkie wnioski — człowiek, który w tym drugim okresie istnienia obozu narodowego miał całkowicie nad nim dominować, Roman Dmowski.

Wszyscy myślący politycznie Polacy pragnęli odbudowania państwa. Nie chodziło przecież o pragnienie, ani o jego intensywność, ale o znalezienie środków do tego celu. Dmowski uznał, że sojusz francusko-rosyjski jest dobrodziejstwem dla Polski, ponieważ musi wywołać wojnę europejską. W tej wojnie Rosja, Francja i stojąca za nimi Anglia mają szanse pokonać Niemcy i Austrię. Rosja rozkłada się i prędzej lub później ulegnie rewolucji. Nawet więc jeśli wygra, nie będzie zdolna utrzymać Polski pod swoją władzą na dłużej, natomiast da jej odrazu zjednoczenie terytorialne. Przeciwnie, zwycięstwo Niemiec oznaczałoby nietylko utratę na zawsze dla narodu polskiego jego ziem zachodnich, ale trwałą likwidację sprawy polskiej. Rosja roku 1914 nie była zdolna zniszczyć Polski, Niemcy roku 1914 były zdolne. Stąd koncepcja rucenia na szalę wojny sił narodu polskiego po stronie Francji i Rosji.

Przeprowadzenie tej koncepcji było nadwzraz ciężkie. W samym obozie narodowym oznaczało ono bolesny kryzys. Przeobrażenie tego obozu wobec nowego problemu spowodowało odpadnięcie młodzieży i robotników. W konsekwencji przekreślało to możliwość dojścia tego obozu do władzy na długie lata. Ale Dmowski poszedł bez wahania na to największe poświęcenie, jakie może zrobić polityk. Wolał Polskę rządzoną przez przeciwników, od swoich rządów nad społeczeństwem w niewoli. Przeprowadzenie tej koncepcji wymagało ponadto niepopularnego zabiegu uniemożliwienia powstania antyrosyjskiego w Polsce i to przy polityce rosyjskiej, która robiła wszystko, aby akcję Narodowej Demokracji skompromitować i Polaków rozdrażnić. Mało tego, trzeba było wejść na arenę międzynarodową, nie mając po temu żadnego tytułu. Wreszcie trzeba było stworzyć siłę zbrojną po stronie Aliantów. To wszystko zostało zrobione, i Dmowski podpisał w imieniu Polski Traktat Wersalski jako przedstawiciel państwa sprzymierzonego i zwycięskiego.

Dmowski wywalczył w Paryżu ile było można, ale nie tyle ile żądał dla bezpieczeństwa Polski. Wschodnia część programu terytorialnego Dmowskiego została mniej więcej utrzeczywistniona, kiedy niepowodzenie wyprawy kijowskiej wykazało niemożliwość rozbicia Rosji, a zwycięstwo warszawskie przekreśliło możliwości z bolszewizowania Polski, a wraz z nią i Kontynentu. Polska w tych granicach na zachodzie i wschodzie nie mogła być czym innym jak państwem narodowym.

Problem zewnętrzny został czasowo zakończony. Wobec problemu wewnętrznego urzędzenia państwa Narodowa Demokracja, pozbawiona przed wojną wpływu na młodsze pokolenie i żywo ludu miejskiego, pozbawiona chwilowo kierownictwa nieobecnego w kraju szereg lat Dmowskiego, stanęła bezradna. Obóz narodowy przeżył okres największego upadku swej roli politycznej, mimo posiadania największej liczby mandatów parlamentarnych.

Faktem niesłychanie krępującym cały rozwój polityczno-społeczny Polski między wojnami było jej położenie zewnętrzne. Ani Niemcy ani Rosjanie nie pogodzili się szczerze z istnieniem Polski, a Zachód był w stosunku do tego nowego państwa przez długi czas bardzo sceptyczny. W czasach Rapalla groza porozumienia niemiecko-rosyjskiego wisiała

wciąż nad nami, a gdy stosunki niemieckorosyjskie się popsuły, Francja wycofała się z Europy wschodniej politycznie i sojusz z Zachodem stanął pod znakiem zapytania. Polska przez cały niemal czas, jak to ktoś określił, musiała spać w pełnym oporządzeniu z głową na plecaku. Problem jej miejsca w świecie nie był bynajmniej zakończony i dziś znowu stoi przed nami od kilku lat jako główne, przesłaniające wszystko inne zagadnienie.

Mimo to wszakże i mimo braku doświadczenia państwowego, przerwane na półtora wieku w okresie największych zmian społeczno-politycznych w Europie, ruch narodowy polski zdobył się na wielką, samodzielną koncepcję wewnętrzną, koncepcję, powiedzieć to trzeba odrazu, do dziś naogół niezrozumianą. Wyrazem tej koncepcji było stworzenie Obozu Wielkiej Polski.

Należy zapomnieć na chwilę o Obozie Wielkiej Polski, jakim był, powiedzmy, w r. 1932. Był on bowiem całkiem różny od tego, czym miał być w chwili swego powstania. Obóz Wielkiej Polski nie miał być ani partią polityczną w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, czego najlepszym dowodem było utrzymanie, zreorganizowanego w Stronictwo Narodowe, Stronictwa Narodowej Demokracji, ani też monopartią, skoro pozwolono jego członkom należeć do różnych partii politycznych. Zamysł Obozu Wielkiej Polski przedstawiony jest w broszurze Dmowskiego: "Zagadnienie Rządu". Jest to plan stworzenia ponadpartyjnej organizacji politycznej narodu.

Koncepcja ta była zupełnie nowa i nic dziwnego, że nie została zrozumiana. To, że system parlamentarny na Kontynencie zawiódł, dostrzegali wówczas niektórzy, choć było to jeszcze przed zerwaniem z parlamentaryzmem przez wszystkie niemal kraje środkowo europejskie i znacznie przed tragiczną kompromitacją ustroju parlamentarnego we Francji. To wszakże, że zawiedzie eksperyment przeciwny, a mianowicie ustrój monopartyjny dyktatury, było niezmiernie trudne do przewidzenia. Obóz Wielkiej Polski antycypował te doświadczenia. Na ustrój angielski nie było w Polsce miejsca z braku wyrobionego rozwojem historycznym systemu dwupartyjnego. Wolnomularstwo, które w innych krajach mogłoby pretendować do roli czynnika nadrzędnego i regulującego, w Polsce jako w kraju *katolickim* nie miało do tego żadnych danych. Parlamentaryzm beznadziejnie degenerował w system klik i bezładu. Monopartia była psychicznie najzupełniej obca Polakom, a nawet ten dziwny pół-monopartyjny system, jakim obdarzyć nas miały rządy pomajowe, okazał się nicznośny. Koncepcja Obozu Wielkiej Polski polegała na utrzymaniu twórczego współzawodnictwa partij, lecz w ramach wspólnych zasad cywilizacyjnych i moralnych koordynowanych przez nadrzędną organizację polityczną, nie ograniczoną jednak do polityki parlamentarnej i bieżącej. Toteż Obóz Wielkiej Polski nie stwarzał programu politycznego w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz ustawił podstawowe problemy cywilizacyjno-państwowe w swojej deklaracji.

Partia polityczna, jaką była Narodowa Demokracja, mogła w stosunku do religii zajmować stanowisko polityczne. Zamierzona organizacja polityczna narodu musiała zająć stanowisko zasadnicze. Obóz Wielkiej Polski stanął zasadniczo i zdecydowanie na gruncie prawd moralnych chrześcijaństwa. W czasie gdy niemal wszystkie ruchy polityczne w Europie oddalały się od chrześcijańskich podstaw naszej cywilizacji, broszura Dmowskiego "Kościół Naród i Państwo" przesuwiała

ruch narodowy polski bez wszelkich niedomówień na grunt etyki katolickiej. Skutki tego nie odrazu dały się wyczuć i bodaj że dopiero przeobrażenia tej wojny w narodzie polskim w pełni je uwidaczniają.

Zamysł Obozu Wielkiej Polski nie został w pełni urzeczywistniony. Nikt go właściwie poza wąskim gronem twórców nie zrozumiał. Ludzie starszego pokolenia pojęli to jako nową formę partii narodowo-demokratycznej, młodzieży, urzeczona spektakularnym urokiem faszyzmu włoskiego i łatwizną jego rozwiązań pojęła naogół O.W.P. jako polski faszyzm i z tym pojęciem tłumnie wypełniła jego szeregi. Tu tkwi źródło drugiego wielkiego kryzysu w obozie narodowym, jaki nastąpił w latach 1933–34, gdy Dmowski nie zgodził się na stworzenie w miejsce rozwiązanego przez rząd O.W.P. nowej partii narodowej o typie faszystowskim. Pokolenie wychowane w Polsce niepodległej rozpoczęło doświadczenie na własną rękę. Pozytywnym wynikiem tych doświadczeń był znaczny ruch umysłowy i programowy oraz wychowanie sporej ilości ludzi w duchu bojowej ofiarności, natomiast wyniki organizacyjne były zdecydowanie negatywne. Natomiast Stronictwo Narodowe w drodze konsekwentnej reorganizacji wewnętrznej, opartej na nowych doświadczeniach, osiągnęło duży rozwój organizacyjny. Doświadczenia Drugiej Wojny Światowej usunęły resztki sympatii do koncepcji totalitarnych. I dziś dopiero wśród młodszego pokolenia polskiego zaczyna dojrzewać zrozumienie koncepcji wewnętrzno-politycznej Dmowskiego.

Wypadki międzynarodowe z powrotem postawiły obóz narodowy polski wobec zagadnienia miejsca Polski w świecie. Jest to problem najpilniejszy, największy i najbardziej podstawowy. Od sprawy granic Polski i układu państw ją otaczających zależeć będzie nietylko jej rola w Europie, ale i jej rozwój i ustrój wewnętrzny. Polska dziś nie potrzebuje rozstrzygać problemu swego stosunku do wojny. Stosunek ten został przesądzony w Wersalu i Rydze. Zupełna jedność Polaków wobec Drugiej Wojny Światowej nie pozostawia co do tego wątpliwości. Różnice istnieją nie co do stanowiska zasadniczego, jak w r. 1914–ym, lecz tylko co do taktyki w tej lub innej sprawie. Nadejście dzień, kiedy te spory taktyczne się skończą i ciężar zagadnień z zewnętrznych przeniesie się na wewnętrzne. Będą one w skali tak wielkiej, jakiej nie znaly poprzednie pokolenia. O rozstrzygnięciu ich w znacznej mierze decydować będzie przyjęcie zasady porządkującej. Jedyne trwałe wyniki dać tu może sięgnięcie do dorobku myślowego obozu narodowego.

Naród polski przeżywa w tej chwili najgłębszy od wieków przewrót. Przebywając na wojennej emigracji tracimy bardzo często świadomość tego. Przeobrażeniem też rewolucyjnym ulega w kraju obóz narodowy. Skutki tych przeobrażeń dadzą się w pełni ocenić dopiero w jakiś czas po uwolnieniu terytorium narodowego. Toteż rzeczą przedwczesną byłoby mówić o formach jakie przybierze on w drugim półwieczu swej działalności.

Pół wieku w życiu narodu to może być niewiele, ale ostatnie półwiecze, to trzy zupełnie różne epoki i dwa kataklizmy światowe. Polski ruch narodowy nietylko przetrwał to wszystko, ale we wszystkich tych epokach był głównym ośrodkiem polityki polskiej. Jest wielkim ruchem historycznym polskim, stał się instytucją życia narodowego. To nakłada na niego w nadchodzącej epoce olbrzymie obowiązki.

O PODSTAWĘ POWOJENNEGO ŚWIATA

NIE zamierzam zająć się tu pytaniami, drogimi wielu demagogom, o co się bije dzisiejszy nasz żołnierz? o co krwawią i cierpią Polacy? Pytania te są zbędne, i nawet nie retoryczne, bo odpowiedź na nie jest aż nazbyt jasna i natychmiastowa: walczymy, krwawimy i cierpimy za Polskę. Ten jeden wyraz, wypełniony po brzegi uświadomieniem pokoleń, ma wartość syntezy. Czegóż więcej potrzeba?

Możnaby raczej syntezę tę z kolei zanalizować i rozważyć, by pełniej zrozumieć jej treść wynikłą z tysiąclecia polskiego istnienia, ale i nabrzmiałą rodzącą się przyszłością narodu. Zwłaszcza jeśli idzie o dręczące pytania, co będzie po wojnie, z czym wrócimy do kraju i co tam zastaniemy, jak wspólnymi siłami budować będziemy nasze jutro? — konieczność ich przemyslenia narzuca się nam jako nakaz chwili, i to tym bardziej, że niejednokrotnie trzeba nam tu tylko odcyfrować to, co narasta głęboko w nas samych, po tych czteroletnich doświadczeniach i próbach.

Zwykle przytem koleje politycznego działania każą nam dziś stykać się z przedstawicielami innych narodów, dla których słowo *Polska* nie posiada z konieczności tak kluczowego i węzłowego znaczenia, tak symbolicznego ale i oczywistego napięcia, jak dla nas. Ich raczej trzeba zainteresować tym co Polska dla nich stanowi? jaka jest jej rola międzynarodowa? co oznacza jej wkład w zbiorowy skarb cierpień i myśli, wysiłków i osiągnięć Europy?

Stąd konieczność i dla nas samych pewnego uładzenia naszych myśli, zorganizowania ich w całość łatwą do zmobilizowania, wprowadzenia ich w związek logiczny — i genetyczny — z innymi pojęciami, o zakresie węższym lub szerszym, o treści szczegółowszej lub ogólniejszej. Polska będzie, jak zawsze była, częścią świata i częścią swej części świata, Europy. Co z tego wynika? z tego prostego, a tak brzemienne w następstwa faktu, że, jak niema świata bez Polski, tak i niema Polski bez całości, do której należy, bez świata i bez Europy. O jaki świat i jaką Europą nam idzie — postaramy się wyjaśnić za chwilę.

1.

Takie ogólne rozważania nie są zresztą właściwością naszego tylko pokolenia i obecnego jeno dramatu dziejowego. Ostatecznie człowiek dlatego właśnie jest człowiekiem, że myśli o ogólnych i najogólniejszych zagadnieniach. Zwłaszcza gdy go coś boli i gniecie. Cierpienie miało to zawsze do siebie, że wyzwalalo myśl.

Pamiętamy dobrze, jak to było przed stu laty. Osiągnęliśmy wtedy byli szczyty naszej twórczości narodowej poprzez Mickiewicza i Słowackiego, poprzez Krasińskiego i Cieszkowskiego, poprzez Chopina i Norwida. Straszliwy dramat niewoli wywiał w nas był tę jakąś emulsię twórczości i myśli.

Istniała zaś wtedy powszechna w Europie moda ku takiemu rozważaniu historii ludzkości i narodów, by konieczność z niej odczytać

można było ich misję i jakby powołanie. Nazywało się to *historiozofią*. Nazwa ta była i szumna i brzydka, ładna t.j. rodzima była ona tylko w niemieckim. Już Francuzi woleli używać złożonego z dwu wyrazów terminu filozofii historii. Modzie tej hołdowali oczywiście i nasi wielcy autorowie.

Nauka ta, a raczej pseudo-nauka, przeżyła się dziś i przesiliła. Uważamy dość słusznie, że i Herder i Hegel, i Quinet i Michelet, niewiele już nam dać mogą poza swą poczętą i stylem. Układali oni sobie wszyscy historię ludzkości jako dramat — niczym hrabia Henryk z *Nieboskiej*. Dramat ten nie bardzo liczył się z historią, i należał raczej do swych autorów niżli do historii. Zdarzały się im nawet, naskutek tego, przykre pomyłki, jak gdy n.p. Hegel uważał, że ostatecznym arcydziełem ludzkości, ponad i poza które przyszłość już nie przynieść nie zdoła — jest monarchia pruska. Quinet i Michelet szlachetniej się mylili, ale jednak mylili, gdy mniemali, że ludzkość z konieczności swej i przeznaczenia *musi*, automatycznie nieledwo, samym ciężeniem swej natury, postępować dalej i dalej, wyżej i wyżej, ku coraz dalszej doskonałości. Cóżby powiedzieli dziś, po latach stu, na widok postępu i rozwoju ukochanego przez siebie — narodu niemieckiego??

Niemniej, i mimo tych wszystkich utopij i irrealizmów, było w tych mrzonkach co istotnego: stwierdzenie niemożności dla człowieka niemyślenia o swych dziejach i niewiązania ich w jakąś całość . . .

Znacznie lepiej przebrnęli przez próbę potomności ci z pomiędzy historiozofów, którzy przejmowali katolickie podstawy myślenia. Stało się zaś tak poprostu dlatego, że swe pomysły historiozoficzne wplatali oni w dyscyplinę katolickiego myślenia, które z natury rzeczy, z natury swej służby Bogu, wyklucza wszelki automatyzm.

Rafą bowiem, o którą się historiozofia właściwa, historiozofia świecka i laicka, rozbiła — była jej dogmatyczna wiara w rozwój ludzkości, której postęp, konieczny i nieledwo deterministyczny, więc wykluczający wolny wybór dróg rozwoju, był właściwie niczym innym jak epopeją automatycznego ludzkiego się. Będąc raz człowiekiem, a zwłaszcza zbiorową ludzkością, wzrastalo się, rozwijało się, postępowało się — nieuchronnie. Cokolwiekby poszczególny człowiek zrobił dla zahamowania tej triumfalnej drogi, cóż znaczą jego przewiny i błędy wobec zbiorowych sił społeczeństw ludzkich, które *muszą* postępować naprzód i dźwigać się w górę. Ludzkie się zwycięży, choćby było bezimiennie. Prowadziło takie rozumowanie do biernego optymizmu jednostki oglądającej się bezwolnie na społeczny, zbiorowy wysiłek, — a z drugiej strony, do ubóstwiania zwycięskiego faktu, choćby nim była monarchia pruska . . .

Prowadziło to nawet do zbyt łatwego godzenia się — z ginieciem narodów, jeśliby ich śmierć potrzebna była dla dobra ludzkości. Jest to właśnie argumentacja, którą

Krasiński włożył w usta szatana z *Dnia Dzisiejszego*:

Tem bieży potok, że fale mijają,
Tem ogół stoi, że szczególnie płyną —
Tem ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tem wszechświat, że światy konają.

Natomiast myśl katolicka, idąc śladem Bossueta czy de Maistre'a i warując istnienie Opatrzności, warowała równocześnie i podane jej, zmienne ale wolne losy człowieka, w którego rękę *zawsze* i do końca leży wolny wybór między dobrem a złem, wybór negujący wszelki automatyzm, a dopuszczający postęp — albo cofanie się — i jego i społeczności narodowej, do której należy. Na miejscu triumfującego ludzkiego się zjawia się tu świadoma i odpowiedzialna osobowość ludzka, swym wysiłkiem i czujnym wyborem rzeźbiąca swe losy, i — w swej małej części i drobnym udziale — losy narodu, do którego należy, a któremu zawdzięcza to, co w niej jest społeczne, a więc wszystko poza swą duszą nieśmiertelną. Brak stałego i nieuchronnego, ale mechanicznego i automatycznego postępu był u tych myślicieli — znajdujemy wśród nich właśnie i twórców polskiej filozofii narodowej, Mickiewicza, Krasińskiego i Augusta Cieszkowskiego — niby cechą pesymistyczną; w rzeczywistości jednak ileż optymizmu leżało w tym zaprzeczeniu determinizmu historycznego, a zachowaniu praw wolności woli i wyboru dla jednostki, a przez nią i dla narodu!

Pod koniec ubiegłego wieku oba te nurty myślowe dropowały do podwójnej odpowiedzi na dręczące człowieka pytanie o losy ludzkości. Dawne systemy historioficzne i Hegla i Micheleta i Quineta rozbiły się o determinizm historyczny i utonęły w pozytywizmie ścisłej metody historycznej, nie pozwalającej sobie na szerokie i mgliste budowy historiozoficzne. Natomiast katolicycy myśliciele, nawet wtedy gdy postępowali drogą surowej metody historycznej, mieli jeszcze w zanadrzu swoje pojęcia o początku i kresie człowieka, które im nie przeszkadzały w uzyskaniu historycznego niezależnego sądu. Przeciwnie, w niejednym pomagały im do syntetycznego wiązania historii, albowiem zbroili jednostkę w znacznie większą sprężystość wobec bijących w nią ślepych fal "przeznaczenia", "konieczności", "losu" czy wręcz nie tylko wobec urabiającego ją nacisku rasy, klimatu lub dziedziczności.

2.

Tak więc, uczeń laicyzmu Quineta czy Micheleta, straciwszy swe złudne prawdy spirytualistyczne¹⁾ na rafach krytyki historycznej, stawał bezradny i bezbronny w chwilach przełomowych historycznego dramatu. Wierzył już tylko w siłę, w przemożną rolę siły. Materializm marksizmu kazał w ową siłę przemożną zbroić proletariatu i wierzył w tego proletariatu zwycięstwo: oglądamy je dziś w Rosji. — Wojny światowe? tamta pierwsza i ta druga są, w takim oświetleniu, jedynie grą władczych interesów, momentami walki

¹⁾ Francuscy ci myśliciele, w odróżnieniu od niemieckich, starali się kurczowo o zachowanie *wolności* człowieka. Niestety skazani byli na zatracenie jej, wraz z osobowością Boga, w odmętach swego panteizmu. Nikt jeszcze nigdy wolności z panteizmu nie wyratował.

o władzę. Ot polityka wielkich i możnych tego świata, wielkiej dwójki kapitału i proletariatu, albo też i wielkiej czwórki mocarstw tamtej wojny czy też trochę zmienionej w składzie wielkiej czwórki mocarstw tej wojny. . . Co tu mówić o jakichs szczytnych i wzniosłych celach i przyczynach: chodzą o spór o władzę — i basta.

Rozumowanie takie przyjmuje, że wszelkie inne hasła są prostym pretekstem i sloganowym blichtrzem, w które stroją się ścierające się ze sobą wielkie interesy mocarstwowe, by tym snadniej porwać za sobą masy, zawsze łase na emocjonalne zawołania. Rozumowanie to istnieje i dzisiaj. Potworne przejawy egoizmu i zbrodniczości mocarstw Osi ostają się wszakże w swoich społeczeństwach tylko dzięki takiej szacie zsytej z pstrych haseł i idej — zgodnie z tym, co pisał kiedyś Carlyle w swoim *Sartor resartus*. W obozie alianckim, w obozie "demokratycznym", potrzeba jest niestety też takiego forsownego szycia, i takiej pstrej szaty "ideowej", — a to dlatego, że ostatecznie nie wszyscy sprzymierzeńcy są na tę samą modłę "demokratyczni", nie wszyscy śpiewają na jedną nutę nawet w łonie wielkiej czwórki. — Ba, panuje tam nawet istna kakofonia, a przynajmniej słychać obficie dysonanse, tak zawsze dla muzyki rosyjskiej znamienne. Zaiste, satyrki przyszłości, która — kiedyś — nie będzie się liczyć z cenzurą i kneblem, satyrki ten będzie miał połów obfity, jakże dojmująco obfity!

Niemniej, nie negując ani trochę istnienia takich interesów i gigantycznych walk o władzę i panowanie nad światem jesteśmy przekonani, że sprowadzanie do nich tylko kataklizmów dziejowych byłoby niesłychanym krótkowidzstwem. W ostatecznym rezultacie, na który nieraz długo się czeka — Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy — te wielkie interesy wyglądają na szlach i falach historii wcale mizernie. Nie można się nieraz, patrząc z odpowiedniej perspektywy, oprócz wrażeniu, że owe wielkie, i jakoby przyczynodawcze interesy stają wobec wyników, których nie przewidywały i wywołują siły, których się następnie pozbyć nie umieją. Jakaś tam inna rządzi logika i inna ręka. Inna wola, tajemnicza, niezbadana, ale wola. Któżby to śmiał twierdzić, że, wśród mocarstw prowadzących wojnę światową roku 1914, było takie, takie jedno choćby, które przewidywało wskrzeszenie Polski na gruzach tych, co ją z mapy Europy wykreślili i w grób niewoli wprowadzili?

Zapewne — tym, co tej ukrytej ręki widzieć nie chcą, pozostaje zawsze możliwość afirmacji przypadku, jako mędrszego niż wszystkie pozostałe mądrości.

Człowiek myślący, co ważniejsza, człowiek skutecznie działający, na dłuższą metę nie znieśnie przypadkowości i braku przejrzenia. Musi przyjąć jakąś Nieprzypadkowość i jakieś Przejrzenie. Bez tego nie potrafi ni żyć ni działać, ni walczyć ni tworzyć. Zawiedzie wtedy nawet tych, dla których interesów potrzeba by walczył i tworzył. Człowiek skutecznie działa, walczy i tworzy zawsze na przekór anarchii i przypadkowości. Swą walką i swym czynem przypadkowość zabija i tworzy ład.

Tak i dziś. Im głębiej w wojnę, tym natęczywiej ludzie szukają dróg, by, na przyszłość, wyjść z manowców i jednak lepiej świat zbudować — a przynajmniej wrócić i nawiązać do tego, co europejską — i polską — przeszłość i tradycję budowało.

Poszukajmyż i my z nimi tego lepszego

jutra, wypluwającego na fali historii z wczorajszego i onegdajszego dnia, w którym jednak było światło! Nikt z nas przecie nie pragnie, by ten świt, który nam świtać zaczyna, był świtem zupełnie innego światła, niż to, w którym narody nasze powstały i wyrosły.

3.

By świt dnia jutrzejszego odgadnąć, i do światła naszej tradycji nawiązać, musimy jednak śmiało zapuścić wzrok — w mrok dnia dzisiejszego.

Mówi się dziś wiele, i bardzo słusznie, o scalaniu zbyt rozkawałkowanej Europy. Jeśli pierwszą wojnę światową likwidowało się pod hasłem różnicowania Europy według zasady samostanowienia narodów, wojnę dzisiejszą pragnie się zakończyć i rozwiązać pod zawołaniem integracji i scalania. Idzie o to, by uzyskać maximum siły i potencjału, któreby mogło skutecznie stawić opór potężnym sąsiadom, potężnym ludnościowo i potencjalnie. Hasło to jest najwidoczniej bardzo zdrowe, skoro jeden z tych potężnych sąsiadów, i to znajdujący się wraz z nami wśród aliantów, już dziś wyraźnie okazuje, że wcale go sobie nie życzy . . .

A przecież, zdawałoby się, cóż naturalniejszego? Jeżeli w samym środku Europy — by nie rzec w samym jej sercu — siedzący Raubritter niemiecki liczy sobie siedemdziesiąt milionów ludności, to przecież żadne prawne ograniczenia ani traktatowe przysięgi *à la longue* same tu nie wystarczą i nie pomogą. Potrzeba tu przeciwstawić system równowagi sił — więc na zachodzie próbę organicznej współpracy angielsko-lacińskiej, a na wschodzie więcej niż próbę organicznego zrzeszenia środkowo-wschodnio-europejskiego. Tak zorganizowana Europa mogłaby istnieć, chronić za jednym zamachem Rosję od Niemiec i od wiecznego, nieuleczalnego *Drang nach Osten*, które — dość to dziś chyba jasne — grozi nie tylko Polsce ale i Rosji.

Te nęące perspektywy wydają się jednak jednym za słabe, a drugim za groźne. Trzeba by im dodać na mocy, a ująć na kantach prawnego automatyzmu. Sądźmy, że oba te cele osiągnąćby można, radząc się historii dwutysiąclecia europejskiej cywilizacji, która wszakże umożliwiła europejskie współzycie. Jeżeli się w dodatku zastanowić nad zasięgiem tej cywilizacji, okaże się wnet, że przelała się ona szeroko poza Europę, i że wiąże ze sobą całość — nieledwo — rasy białej na Amerykańskim, Australijskim i Europejskim kontynencie, a częściowo i na bliskim wschodzie Azji i Afryki. Nie trzeba się tu wstydić historycznego rozumowania: historia może zawodzić tam, gdzie idzie o szczegółowe prorocstwa i rachuby, nie zawodzi tam, gdzie idzie o najgłębsze, moralne i cywilizacyjne, a nawet moralno-polityczne uwarstwienia doświadczenia ludzkiego. Bodajże żadnego skutecznego "całkowania" czy integracji, żadnego scalania nie da się pomyśleć ni osiągnąć bez nawrotu do spirytualistycznych, duchowych więzi, znamionujących wielką, dwutysiącletnią europejską wspólnotę, która ogarnia dziś, dzięki chrześcijaństwu, ogromną część globu.

Rzecz zaiste godna uważnego spojrzenia.

Szczęśliwie nie wypadnie nam tu szukać daleko i wyprawiać się w nieznane krainy utopii i złudnych, doświadczeniem nie pokrytych teorii. Tam gdzie idzie o losy narodów i społeczeństw, eksperymenty są nieraz zbrodnicze. Tam gdzie idzie o ludzką krew i o przyszłość pokoleń, trzeba umieć nie gonić za oryginalnością, nie mieszać poezji

i polityki, trzeba umieć zdobyć się na skromność pokornego posłuchu wobec wypróbowanych tradycji żywych, przede wszystkim religijnych i narodowych. My Polacy, zwłaszcza my narodowcy, jesteśmy Europejczykami typu zachodniego i nie prawdziwie europejskiego nie jest nam obce. Poczujemy się do europejskiej schedy takiej, jaką nam przekazała starożytność klasyczna wchłonięta, rozwinięta i pogłębiona przez chrześcijaństwo rzymskie, przez katolicyzm więc, który wszakże przez z górą lat *półtora tysiąca* rzeźbił i tę połać Europy, jaka potem odeń odeszła.

Jako katolicy, jako chrześcijanie, nie potrzebujemy sobie łamać głowy nad pytaniem o co, o jaki autorytet moralny, zawiesić, zahaczyć wszelkie działania publiczne, prawno-polityczne czy jednostkowe? Etyka istnieje dla nas jedna tylko — chrześcijańska. Źródło moralne bije dla nas jedno tylko — w Bogu. Dialektyka bezwzględnej supremacji państwa jako dobra najwyższego — dla nas nie istnieje zgola: dobrem najwyższym jest dla nas Bóg widziany i rozumiany poprzez dyscyplinę Kościoła Katolickiego we wszystkim, co się moralności i etyki dotyczy. I ten wielki dom katolicki, do którego należymy, waruje nam odpowiednie spojrzenie na cały wielki problem stosunku jednostki do zbiorowości.

Te wszystkie prawdy, zdawałoby się, tak jasne, zostały dziś niezmiernie poważnie zagrożone, poważniej niż kiedykolwiek przedtem. Mamy do czynienia z podwójną potężną falą neo-poganizmu, zagrażającą totalizmem państwowym — wszelkim prawom religijnym, moralnym i narodowym. Pierwszą — genetycznie — winę ponosi tu totalizm typu bolszewickiego, albowiem przerosty faszyzmu i szalenstwo nazizmu powstały jako reakcje przeciwko niemu. Odrobina uwagi musi nam unaoczniać, iż te piętrzące się balwany nawalnicy bolszewizmu i anti-bolszewickiego nazizmu godzą *obie* w to, co dla chrześcijanina i Europejczyka, więc i dla Polaka, jest najświętsze i zasadnicze.

Antagonizm jednostki i zbiorowości, praw człowieka i jego obowiązków wobec społeczeństwa — jest odwieczny. Od jego rozwiązywania w ten czy ów sposób zależy postać cywilizacji. Dla cywilizacji chrześcijańskiej, najwyższej i najprężniejszej, jaką świat wydał, stosunek ten jest określony zależnością religijną. Chcę przez to powiedzieć, że w najgłębszej swej podstawie, cywilizacja europejska jest cywilizacją chrześcijańską *więc* religijną. Gwarantem opieki nad jednostką wobec wszelkich zakusów tyranii — jest Bóg, który człowieka stworzył na Swoje podobieństwo, i tę, do Siebie podobną duszę rozkazał w nim szanować. Takimże samym gwarantem obowiązków jednostki wobec społeczności zbiorowej, wobec narodu, jest znow dla chrześcijanina Bóg, który kazał człowiekowi bliźniego kochać, z czego — nie mam tu czasu ni miejsca tego rozwinąć — wypływają wszelkie dalsze konsekwencje sięgające poprzez rodzinę do narodu, a poprzez naród do międzynarodowej społeczności.

Zdaję sobie sprawę z tego, że wszakże wojujący laicyzm o Bogu nie pamiętał, — a był, i jest, jednak europejski. Twierdząc, że jak długo istniał i tworzył społecznie, żył rozpadem cywilizacji europejskiej a więc chrześcijańskiej. Nie wiedział o tym, ale europejskim i chrześcijańskim z ducha odzaju być nie przestał, bo przestać nie mógł. Stąd wszakże, nawet w teorii, tak trudno oderwać się od chrześcijańskiej etyki i moralności. Mówiło się: nie wierzę w dogmaty, nie przyjmuję metafizyki ni filozofii chrześcijaństwa — ale zachowuję etykę i moralność chrześcijańską. . . Był to pośredni hold chry-

stianizmowi złożony przez tych nawet, co chrześcijanami być nie chcieli.

By lepiej dowieść tego, o co nam idzie, postaramy się to rozumowanie odwrócić i wyobrazić sobie życie wzajemne jednostki i społeczeństwa po wyrzuceniu i wytepieniu pojęcia Boga i zniwelowaniu wszelkich wobec niego obowiązków.

Coby się stało wtedy?

Mamy już niestety dość doświadczenia, aby to odgadnąć. *Zniknęłyby właśnie owe gwarancje.* A więc, pod rządami dyktatora silnej, od nikogo niezależnej ręki, jednostka ludzka stanęłaby oko w oko z państwem i wnet byłaby sponiewierana. Rodzina — acz zasadnicza komórka narodu — padłaby ofiarą ingerencji państwa w jej prawa. Wszelkie swobody autonomiczne ciała społeczeństwa, jak uniwersytetów, a również nietykalności i niezawisłości stanu sędziowskiego — figurowałyby już tylko w opowieściach i legendach z czasów dawnych. A wreszcie — doprowadzono by do stosunków przypominających dawne sprawy niewolników faraonów czy mongolskich.

Jedno spojrzenie, rzucane na to, co się dzieje w świecie dżicze od Sybiru i przymusowych obozów pracy w Rosji po Dachau i Oświęcim — starczy chyba, by dowieść, że to nie mrzonki.

Skądinąd zaś, społeczeństwo niechronione swoją gwarancją religijną wobec liberalizmu rozwielenionych praw jednostki — niszczy i zamiera. Puszczona samopas jednostka ludzka będzie zawsze miała tendencje do podporządkowania swoich obowiązków swoim prawom. Na tle liberalizmu triumfujących praw obywatelskich jakżeś blakły obowiązki obywatelskie w wieku XIX — ym czy też między wojnami wieku XX — o. Rozpłoszkowania partyjne, wyrastające na gruncie przerostu jednostkowych ambicji; brak rządów silnych a szanujących prawo; zamieranie egzekutywy — wszystko to było skutkiem liberalizującego zacierania pojęć o obowiązkach względem narodu i państwa. O przykłady tu zaprawdę nietrudno: nie co innego zgubiło Francję 1940 roku!

Z kolei nastawała, bo nastać musiała, reakcja pod postacią bezwzględnych dyktatur. Albowiem miejsce względnie dobrowolnego harmonizowania życia jednostki i zbiorowości, którego — na dłuższą metę — niema nigdy bez religijnych sankcji — musiał z kolei zająć przymus, skazany na bezwzględność, bez której by nie był zyskał zewnętrznego już choćby tylko posłuchu.

I oto dowód dalszy za naszą tezę:

Skoro tylko owe systemy totalistyczne doszły do głosu, automatycznie niedługo i bardzo szybko wypowiedziały wojnę — i komu? Bogu i religii. Snać tu kłyły się dla nich źródła oporu i niebezpieczeństwa. Dzieje antireligijnego buntu bolszewickiego są aż nadto znane. Do głosu dochodziła tam, po nadzwyczajnie, pokolenia możliwe odchryścianizowane, niewiedzące co Kościół, co Bóg, co religia. Okazało się jawnie, jak bardzo brak Boga pomagał tam do absolutnego niwelowania w dół wszystkiego, co nie jest machiną państwową. Sowiety szczytą się programowo tym, że są systematyczną negacją Boga i religii.

Z nazizmem — tu główna różnica z faszyzmem — jest o tyle inaczej, i jeszcze ciekawiej, że z żargonu Hitlera i hitlerowców nie zniknął wyraz Bóg, a tylko nabrało to pojęcie wręcz antichrześcijańskiego wyglądu. Zaczęło się to od propagowania nawrotu do programowej pragermańskiej mitologii. Piszący te słowa pamięta zdumienie, z jakim w roku jeszcze

1929, na kursach uniwersyteckich francusko-niemieckich w Davos, zorganizowanych przez modny wtedy Komitet zbliżenia między obu narodami, słyszał wykład *ex cathedra* wygłoszony przez niemieckiego profesora, propagującego kult Wotana. . . Wydawało się to wtedy mrzonką i szaleństwem czy też kabotynerią jakiegoś pogrobowca Wagnerizmu; w rzeczywistości był to początek tragedii dziejowej i ataku przeciw chrześcijaństwu i samymże podstawom europejskiej cywilizacji.

Z dzisiejszych Niemiec nadchodzą do Anglii wiadomości, iż jedynie chyba nienawiści do Żydów ustępuje pierwszeństwa nienawiści Hitlera, samego Hitlera, do chrześcijaństwa. Nienawiść do Polaków jest już na dalszym planie. Tej religii cierpienia, doprowadzonego do bohaterstwa i rzucającego ziarna nowego czynu — Hitler nienawidzi płomiennie. Zaś w oczach sfanatyzowanego narodu, zwłaszcza młodych pokoleń, Hitler sam wyrasta na proroka, czy wcielenie niemieckiego Boga, owego pra-germańskiego Wotana. . .

W myśl tego wszystkiego, co się wyżej rzekło, należy stwierdzić z naciskiem że cała cywilizacja chrześcijańska, jakiej wiernymi zostały wszystkie narody rasy białej na obu półkulach, w Europie, Ameryce, Australazji, a też w "białych" częściach Afryki i na dużych przestrzeniach Azji) — znalazły się pod śmiertelnie niebezpiecznym atakiem. Sama etyka, sama moralność chrześcijańska jest tu zagrożona, sam miąższ i sama tkanka społeczna wszystkich narodów wywodzących się z europejskiego pnia kulturalnego.³⁾

Innymi słowy: jeśli człowiek wyrosły na chrześcijaństwie, będzie się chciał ostać, jeśli społeczeństwa narodowe, do chrześcijaństwa oplecione w swej tradycji i rozwoju, nie zechcą same sobie zaprzeczyc i zginąć — będzie musiała po wojnie nastąpić energiczna reafirmacja zasad chrześcijaństwa przez wszystkie — na obu półkulach — narody poczuwające się do europejskiej wspólnoty kulturalnej.

Jest to chyba najgłębszy i najszerzy pojęte "całkowanie", integracja czy scalanie — bez którego się żadnego innego procesu nie przeprowadzi, ani też się tej wojny nie odrobi i zniszczeń, moralnych zwłaszcza, nie naprawi.

Na końcu samym jedno zastrzeżenie i podkreślenie. Zajmowaliśmy się na tym miejscu jedynie podstawą i sprężyną moralną, bez której nie sądzimy by można budować i odbudować świat. Nie wynika z tego ani trochę, by podstawę tę ogłosiliśmy, można ręce złożyć i nic więcej nie robić. Wręcz przeciwnie: podstawa ta jest sprężysta, więc wymaga dalszego działania, nawołuje doń i podnieca. A jedynie się tym dalszym działaniem, różnolitym jak samo życie społeczne, nie zajmujemy tu, bo nie miejsce po temu: uczynią to inni.

. . . Na kongresie historyczno-literackim, odbytym w Amsterdamie w roku 1935, była mowa o znakomitym humaniście współczesnej Holandii, profesorze Huizinga, który

²⁾ Nie zapominamy o niechrześcijańskich a białych narodach Islamu. Ale też koloru skóry nie należy tu brać w znaczeniu absolutnym: ileż kolorowych ludzi, i to o wszelkim odcieniu, przynależą dziś do chrześcijaństwa!

³⁾ Na podwójną tę groźbę stale i niezmordowanie zwraca uwagę na łamach *Myśli Polskiej* — Stanisław Kowalski.

odmówił w którejs z swoich książek chrześcijańskiemu średniowieczu jakiegokolwiek troski o postęp w życiu doczesnym. Był to zarzut podstawowy, bo wszakże podstawowym dla chrześcijańskiego świata jest tomizm, który jest wykutem właśnie średniowiecza. Junius zajął się tam tym zarzutem i wskazał na wyraźne brzmienie jednego z paragrafów *Summy* Św. Tomasza o t.zw. *operabilia*, a więc tym co należy wykonać w życiu *społeczeństw ludzkich*.

Tekst ów podaję w przypisku) — i kończąc zaznaczam, że wszelkie uwagi z zakresu polityki świata powojennego, jakie, w kolejnych opracowaniach, w *Myśli Polskiej* się ukąją, z natury rzeczy należą do zakresu owych — *operabilia*.

JUNIUS

⁴⁾ "Humanae rationi naturale esse videtur, ut gradibus ab imperfecto ad perfectum perveniat. . . Ita etiam et in operabilibus; nam primi, qui intenderunt invenire aliquid utile communitati hominum, non valentes omnia ex seipsis considerare, instituerunt quaedam imperfecta in multis deficientia, quae posteriores mutaverunt instituentes aliqua, quae in paucioribus deficere possunt a communi utilitate".

(Summa, I, II. qu. 97, a. 1).

ZOFIA BROCHOCKA-ILIŃSKA

Z TEJ STRONY NIEMNA

*Zycie pachniało pyłem ziemi kartoflanej,
biegło boso po ciepłych, jesiennych kalużach,
które lgnęły do stopy jak trepy — za duże.*

*Bociany się zebrały w białe — czarne klany,
a zórawie — już myśląc o zimowym jutrze —
zamknęły drzwi do lata cichym ptasim kluczem.*

*Świerszcz skrzydłkiem potrafił suchy kłos
pszenicy
i w kółko brzdąkał o tym, jak przechodzi życie.*

*Z poza Niemna przyleciał wiatr — ruski
hulaka,*

I w lysych krzakach z liśćmi zatańczył kozaka.

SPROSTOWANIE

W wierszu Jerzego Pietrkiewicza p.t. "Siewna", który ukazał się w poprzednim numerze "Myśli Polskiej", zwrotka druga w motywie pierwszym powinna brzmieć:

*Pozbierał wiatr wszystkie kłosa,
fujarkom się w polu cknii.
Dymy wieś prześnięć".*

W motywie drugim między linijkami:

"Aż noc dzbany ciszy w śmiech rozbiła"

oraz

"Gniade konie wiatr przywiozły z Rypina"

powinny znaleźć się dwuwierszowy odstępek.

Ze względu na budowę jakby muzyczna tego krótkiego poematu oba powyższe sprostowania mają znaczenie istotne.

AUTOR

HITLERYZM CZY NIEMCY?)

1.

PRAGNĘ z całym naciskiem i w sposób wy-
bezpornych dowodów, że pomiędzy Niem-
cami, narodem niemieckim, a hitleryzmem
jest najdokładniejszy znak równości. Stwier-
dzenie to nie jest tym razem częścią
teoretycznej dyskusji, kto w Niemczech
ponosi winę za zbrodnie drugiej wojny.
Artykuł niniejszy prowadzi czytelnika do
środką rzeczywistości konkretnej, która to
rzeczywistość musi być nie tylko dyskutowana,
ale również musi być załatwiona, a takie czy
inne jej załatwienie będzie miało bezpośredni
wpływ na życie wielu milionów ludzi. Jesteśmy
nie w sali kollokwalnej pierwszych kursów
medycyny, na których wyklada się profi-
laktykę, ale jesteśmy już na sali operacyjnej
i musimy się szybko decydować albo na
operacyjne ciecie, albo na to, żeby zostawić
zadrażonego pacjenta — śmierci.

Jedną z najgłówniejszych rzeczy jest pow-
stanie potocznej nazwy "nazi Germany" na
oznaczenie Niemiec. W wojnie poprzedniej
nie byli "nazi" i zachowywali się także jak
oprawcy. Powstanie rozróżnienia, które tkwi
w terminie "nazi" przeszkadza zrozumieniu
symptomu niemieckiego, lecz — co gorsza —
przeszkodzi w leczeniu świata. W opinii, jaka
się wytworzyła w następstwie powstania
terminu "nazi", Niemcy są widziane naraz
w dwóch płaszczyznach: niemieckości i hit-
leryzmu, przyczym przez przyjęcie tego kon-
trastu niemieckość automatycznie podlega
niemal idealizowaniu.

Napisano wiele angielskich książek, w któ-
rych metodą naukowego filmu pokazana
została droga wzrostu tego, co się nazywa
hitleryzmem, poczynając od wczesnych wie-
ków średniowiecza. Książki te pisane są
nie tylko przez dziennikarzy czy polityków,
których można posądzać o chęć robienia
kariery, ale również przez uczonych, którzy
wszystkie blaski kariery mają już poza sobą.
Książki te zawierają dokumenty i dowody
rzeczowe, jak na rozprawie sądowej, i czytelnik
może śledzić cały "wypadek" poczynając od
pierwszych poruszeń zwojów mózgowych
zbrodniarza. Nie jest więc zamiarem tego
artykułu odtwarzanie raz jeszcze tego samego
przewodu. Kogo nie przekonały dokumenty
i kogo nie przekonały same pokazy w czasie
pierwszej i drugiej wojny, ten może zostać
ze swą wątpliwą pociechą, że przykłada rękę
do pozostawienia mordercy na wolności.

Istnieją jednak pewne rzeczy, które w tym
wielkim procesie Polacy, w pewnym sensie
najlepsi eksperci od sprawy niemieckiej, mają
obowiązek jeszcze dopowiedzieć. Wyjaśnić
mianowicie fazę przechodzenia wątków nie-
mieckich z ery wilhelmowskiej i wejmarskiej
w erę hitlerowską, oraz określić istotę tego
nowego niemieckiego, etapu rozwojowego. Ta
istota określa się nie zmiąną treści w stosunku
do przeszłości, lecz jej skondensowaniem oraz
ulepszeniem metod. Gdy się czyta "Mein
Kampf" i inne druki hitlerowskie, wyczuwa
się w nich wyraźny żal i wyraźne lekceważenie
w stosunku do Wilhelma, Bismarcka i Fry-
deryka za powolność w działaniu
i tchórzostwo w stosowaniu dostatecz-
nie brutalnych metod. Himmler napisał
w dniu 1 sierpnia 1942: "Świadoma wina

owych czasów i mężów mogła być znikoma :
nie wiadano jak działać lepiej . . ."

Hitleryzm w ani jednym szczególe nie
jest czymś nowym w stosunku do dawnego
i stałego programu niemieckiego. Nową jest
tylko skala i pośpiech. Hitler wiele razy
mówił, a jeszcze częściej myślał, że jest
ucieleśnieniem losu niemieckiego na prze-
strzeni tysięcy lat. Takie przeświadczenie nie
powstało z niczego, jest na czymś oparte,
choć to oparcie uważamy za idiotyczne lub
zbrodnicze. Hitler dlatego poczuł się ucieleś-
nieniem niemieckiego narodu, ponieważ w jego
mózgu półinteligenta zrodziło się przekonanie,
że dla dążeń niemieckich wynalazł genialną
metodę, na którą nie mogli wpaść jego doty-
chczasowi lękliwi poprzednicy.

Metoda polega na działaniu, które się nie
ogłada na żadne względy uboczne, które nie
są samym celem. "Tężyzna" zależna jest od
tego, że Niemiec, działając, nic sobie nie
robi ani z religii, ani z odruchów serca, ani
z humanitaryzmu, ani z podpisanych umów
ani z własnego strachu, ani z niekorzystnych
warunków. Im bardziej jest z tego wszystkiego
wyzwolony, tym cenniejszą jest jednostką
i tym łatwiej realizuje niemieckie cele.
Powstała doktryna — która jest najważniej-
szym czynnikiem "rewolucji" hitlerowskiej —
doktryna sukcesu, który przychodzi tylko
wówczas, gdy się działa w sposób niepozost-
awiający odwrotu. Nie ma tak złej sytuacji,
której by człowiek nie mógł odwrócić, lub
tak trudnego zadania, którego by
człowiek nie mógł wykonać, jeśli działa
ze stuprocentowym uporem i determinacją.
Hitleryzm jest tylko fazą Nie-
miecc. Jest skondensowaniem dążeń nie-
mieckich. Gdy hitleryzm odejdzie, owe
udoskonalone skondensowanie nie odejdzie,
zostanie, o ile się go siłą nie odrzuci. I będzie
stanowiło nowy schód do jakiejś następnej
nowej fazy, tak jak ekstremistyczne książki
niemieckie z czasu poprzedniej wojny stanowiły
schody dla hitleryzmu.

W angielskim filmie "Colonel Blimp"
przedstawiciel "dobrych Niemców" w cklewej
tyradzie mówi mniej więcej tak do pułkownika
Blimpa: "Pan zna Niemców z przed dwu-
dziesiętu i czterdziesiętu lat. Dlatego Pan ich lubi
i ceni. Działają to inni ludzie, inni Niemcy."
Ten film kłamie. To są ciągle ci sami Niemcy
i nigdy nie byli inni. Tylko nigdy dotąd nie
mieli tej nieostrożności, czy tej "odwagi",
aby zadzierać od razu ze wszystkimi i mordować
wszystkich dokoła. Przedstawiciel "dobrych
Niemców" dawał w filmie do zrozumienia,
że 40 lat temu Niemcy byli narodem gentle-
manów. To jest kłamstwo. Nie może być
narodem gentlemanów naród, który jest
gentlemański tylko w stosunku do sąsiada
z prawej strony, a równocześnie jak bandyta
zachowuje się w stosunku do sąsiada z lewej
strony, sąsiada odsuniętego od głównego
gościńca i skutkiem tego nie dość dobrze
widzianego przez pozostałych.

2.

Gdy się czyta przerażające sprawozdania
z okrucieństw niemieckich i opisy metod
stosowanych w obozach koncentracyjnych,
musi przyjść pytanie — skąd się w Niemcu
bierze aż takie okrucieństwo? Wrodzony
Niemcowi sadyzm nie tłumaczy aż tak
wielkiej miary okrucieństwa. Musi być coś
ponadto. I w rzeczywistości jest. To okru-
cieństwo idzie z teorii, iż tylko nieogładająca

się na nic wola może dać sukces. Ta teoria
urośli do maniactwa, przerodziła się w ciężką
służbę, w "święty" obowiązek, w wypełnianie
misji.

Chcę zwrócić uwagę na to, że regime
panujący w obozach koncentracyjnych jest
śmiertelny dla dręczonych, ale jest także
męczący dla dręczycieli. Aby wyprowadzić
kilkę tysięcy ludzi o godzinie 3 w nocy
podczas 30 stopniowego mrozu "na roboty",
muszą cierpieć to niedośpanie i ten mróz
nie tylko ci w drelichach, ale wszystko to
znosić musi również tych kilkuset nad-
stawników w ciepłych płaszczach. Prze-
prowadzanie kilkugodzinnych "apelów" na
mrozie uśmierca więźniów, ale użyć także
kierowników obozu. Inna rzecz, że później
to znużenie przerzucają na więźniów w postaci
jeszcze okrutniejszych znęcań się. Spoj-
rzawszy na te rzeczy od strony oprawców,
trzeba dostrzec, że z ich strony w dzieło
okrucieństw wkładany jest duży wysiłek,
niewygodna, wyrzeczenie się. Tych rzeczy
nie powoduje tylko sadyzm i wrodzone
okrucieństwo, te rzeczy wyzwała prze-
konanie o tym, że tą jedyną drogą, że tylko
ze tę cenę cele niemieckie mogą być zreali-
zowane. Największa kawiarnia warszawska
"Cafe Club" zarezerwowana jest tylko dla
Niemców. Siedzą tam codziennie po południu
mordercy, którzy przed chwilą własnoręcznie
mordowali na podwórzu więziennym "Pa-
wiaka", lub zadawali tortury w lokalu
centrali Gestapo na Alei Szucha. Siedzą,
uśmiechają się, flirtują, opowiadają dowcipy
i wyciągają po kanapach zmęczone kości, jak
ludzie po ciężkiej ale sprawiedliwej pracy.

Oprawcami w obozach koncentracyjnych są
przeważnie młodzi ludzie. Oprawców tych
na terenie Polski w dn. 1.1.1943 było około
165.000. Przed każdym z tych 165.000 stawała
chwila, w której poraz pierwszy na zimno miał
mordować ludzi. Trudno przypuścić, aby
w takiej masie były same typy zdegenerowane
i kryminalne. Byli, i to napewno w wię-
kszości, ludzie zwykli. Trzeba sobie wyobrazić
tę pierwszą chwilę: takiemu "zwyklemu czło-
wiekowi" wypada z rozkładu zajęć zamordować
dziesięciu ludzi, w dodatku ludzi skopanych,
zmalretowanych, w ranach. Patrzymy na
rękę, która zaopatrzona w rewolwer podnosi
się do strzału. W okresie wilhelmowskim
i w okresie republiki wejmarskiej podniosłaby
się tak samo, ale byłaby pewnie chwila
zadrażenia. W okresie hitlerowskim ręka
podnosi się już bez zadrażenia. Oto
cała i jedyna różnica, między
dobrymi Niemcami a "nazi-
stami". Niemiec w Polsce podnosi rękę do
strzału pewnie i bez wahania. To że ją
podnosi, to zasługa Hegla i Nietzschego,
Clausewitza i Bismarcka, Treitschkego i Fer-
dynanda Lassalle. To że ją podnosi bez
drżenia, to zasługa Hitlera.

"Zachowanie się nazistów nie jest prze-
mijającym wybuchem, lecz refleksem dawnego
rysu barbarzyństwa, metodycznie utrzymy-
wanego przy życiu i rozwijanego . . . Ist-
nieje osobliwy germański świat mistyfikacji,
w którym, jeśli się wogóle doń dostaniemy,
czujemy się osłepieni i ogłupieni. Tak
biegnie pierścien nienawiści, począwszy od
świata Nibelungów, świata mgieł i smoków,
aż po piwiarnie monachijskie oraz krwawe
błota Ukrainy — a potem znów spowrotem".
— napisał Hamilton Fish Armstrong.

3.

"Grossdeutschland" nie jest nowym wyna-
lazkiem. Jak w wielu innych rzeczach i tu
Hitler jest tylko imitatorom i kontynuato-
rem. W r. 1939 dla usprawiedliwienia podbojów

) Fragment z większej całości.

literatura hitlerowska powoływała się niejednokrotnie na prawa "Rzymskiego cesarstwa narodu niemieckiego". Przypominano, że cesarstwo to obejmowało: Flandrię, Danię, Skandynawię, Alzację, Lotaryngię, Burgundię, Szwajcarię, Czechy, Morawy, Węgry, Państwa Bałtyckie i Polskę. Co więcej! Z tego źródła wyprowadzono w Niemczech uzasadnienie i obowiązek panowania Niemców nad całym światem, ponieważ "Rzymskie cesarstwo narodu niemieckiego" obejmowało również cały ówczesny świat.

Sledząc powiązania, zapomina się o tych wielu ludziach, którzy będąc inspiratorami i wykonawcami poprzedniej wojny, wszakże nienazistowskiej, znajdują się obecnie, jako emigranci polityczni, w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Londyn z powietrza poraz pierwszy bombardowany był nie podczas obecnej wojny. Był bombardowany i ludzie ginęli również w czasie wojny poprzedniej. "Najpiękniejsze" opisy z tych rajdów dał R. Heinrich, współpracownik b. kanclerza Bruninga, wybitnego działacza katolicko-niemieckiego, znajdującego się dziś w Stanach Zjednoczonych i będącego wielką nadzieją wszystkich, którzy uparli się wierzyć w dobrych Niemców.

Ważnym ogniwem łączącym erę wilhelmską z okresem Hitlera jest postać gen. Ludendorffa. "Generalquartiermeister" wojny światowej napisał książkę p.t. "Wojna totalna", a razem ze swą żoną Matyldą wydawał pismo, które nosiło tytuł "Do źródeł świętego narodu niemieckiego". Nie jest żadną tajemnicą, że hitlerizm czerpał pełnymi garściami z gotowych pomysłów państwa Ludendorffa.

Nie jest również rzeczą nic nie znaczącą, że Hitler doszedł do władzy w sposób najzupełniej demokratyczny, jeśli chodzi o parlament, i że w Niemczech do dziś obowiązuje Konstytucja z Weimaru, najbardziej postępową i humanitarną konstytucją, jaka w ogóle kiedykolwiek została uchwalona.

Lecz to nie wszystko. W czasie poprzedniej wojny zostały opracowane plany, które dziś zrealizował hitlerizm, a których zrealizować wówczas nie było już czasu. Plany te znalazły wyraz w enuncjacjach takich postaci, jak Hugenberg, prof. Hasse, Naumann (1915) i wielu, wielu innych. Metody hitlerowskie w czasie obecnej wojny są dokładną kopią owych planów, ułożonych w czasie, kiedy Hitlera jeszcze nie było. Ten fakt ujmuje w lapidarną definicję znawca spraw niemieckich Curt Geyer ("Hitler's New Order — Kaiser's Old Order") "Cytaty książek niemieckich w latach 1900—1915 świadczą, że brutalny program Hitlera w stosunku do sąsiednich krajów, zwłaszcza słowiańskich, nie wyłączając wypędzenia ludności z obszarów anektowanych, zmuszania jej do robót na rzecz Rzeszy itd. istniał już wówczas".¹⁾ Jest pewnego rodzaju symbolem dla tych spraw, że wnuk słynnego założyciela Komisji Kolonizacyjnej, jednego z trzech ludzi, którzy stworzyli nazwę Ha-Ka-Ta,

Hannemanna, jest dziś komisarzem hitlerowskim w powiecie podwarszawskim i własnoręcznie morduje Polaków, wypełniając testament dziada.

Niemcy to kraj zasobny w zdolnych ludzi. Mają wielu doskonałych specjalistów, uczonych, artystów, profesorów uniwersytetu. Już nie chodzi o to, że warstwa tych artystów i uczonych nie protestowała i nie zginęła raczej, niżby miała dopuścić do władzy nad Niemcami człowieka o dyspozycjach mordercy, lecz oni nawet nie przerwali pracy, każdy w swoim zawodzie. Ta praca, nieprzerwana, ale kontynuowana umocniła regime mordercy i dała mu siłę. Wszystkie dziedziny twórczości znalazły ujście w narodowym-socjalizmie i dały mu krew uzdolniająca ten system do życia.

Polacy słyszą protesty, że przecież cały naród niemiecki nie morduje. Lecz czy jest różnica między tym, kto spuszcza własnoręcznie ostrze gilotyny, a tym kto własnoręcznie dostarcza ofiary pod gilotynę, lub przytrzymuje skazanego w czasie egzekucji? W Polsce jest w tej chwili około miliona Niemców. Wszyscy są pomocnikami policji, denuncjatorami, szpiegami, uczestnikami w obławach lub w wymuszaniu zeznań. Przed całym niemieckim społeczeństwem po stawiono obraz przyszłości taki, iż każdy Niemiec będzie mógł któremukolwiek Polakowi wziąć całą jego własność a jego samego uczynić niewolnikiem; i całe społeczeństwo niemieckie ten obraz przyjęło. W Polsce osadzono około miliona Niemców w majątkach i mieszkaniach polskich, w których nie brakło talerza i garnka — i nie znalazł się nikt z tego miliona, który by się tej bezpłatności dziwił, nie przyjął jej i zainteresował losem poprzednich właścicieli, których wyrzucano na oczach przybyszów. Czy ten brak sumienia całego narodu niemieckiego nie musi być ujęty w jakiś paragraf statutu o karaniu zbrodniarzy wojennych?

Mówi się, że są dobrzy Niemcy. Zanim na ziemię polską przyszły "sądy" Gestapo, szalały tam "sądy" wojenne, wojskowe, złożone z oficerów zawodowych i oficerów rezerwy, którzy kilka miesięcy przedtem sprzedawali w aptekach środki przeciw grypie, lub przekładali papiery w kancelariach adwokackich. Jeśli w tych rzeczach można zdobyć się na miary porównawcze, to — jak wynika ze wszystkich wiadomości — owe wojskowe sądy były jeszcze bardziej bezwzględne, okrutne, dzikie i sadystyczne.

"Niemcy przedstawiają sobą okaz patologiczny, który wymaga patologicznego leczenia. Jeżeli nie weźmiemy pod uwagę tego, faktu przy układaniu stosunków powojennych, to znowu powtórzmy błędy ostatnich lat dziesięciu i będziemy mieli znowu wojnę po upływie lat dwudziestu lub wcześniej". (Wickham Steed "Our War Aims", str. 70).

4.

Lecz przecież każdy z nas pamięta i każdy z nas doświadczył sam na sobie tego, że ludzcy i uczciwi Niemcy byli. Przecież jeździło się do Europy, przecież zawiązywało się przyjaźnie. Owszem, byli. Lecz proces się posunął, a cały naród niemiecki już nie jest tym czym był. Można wspominać, ale nie można wspomnienia brać ze rzeczywistością dlatego, że tak było by wygodniej. Owszem, byli, nieliczni, ale ich już nie ma. Zawsze ich było niewiele, a i tych niewiele w międzyczasie wytląło. Rzeczywistość posuwa się przedę, niż nasza zdolność

uzupełniania obrazu o świecie. Te nieliczne resztki dobrych Niemców, które istniały jeszcze w chwili rozpoczęcia się obecnej wojny, w ubiegłych czterech latach zniknęły zdeprawowane przez sukcesy i okazje wojenne, które stanęły przed każdym z osobna.

Jest prawdziwym niebezpieczeństwem dla przyszłości świata to, że w oczach wielu ludzi Niemcy przedstawiają się jako dwie odrębne płaszczyzny: niemieckości i hitlerizmu. Im bardziej obciąża się hitlerizm, tym jaśniejsza staje się niemieckość. Pojawiają się głosy, że właśnie owa niemieckość jest tym fundamentem, na którym można budować przyszłość. Lecz rzecz w tym, że owa różnica występuje tylko w naszym subiektywnym widzeniu. W rzeczywistości niemieckiej jej nie ma.

5.

Niemcy wiedzą już, że wojnę przegrali. Hitlerizm wie, że będzie musiał ustąpić i to ustąpić jakiejś formie tak zwalczanej przez siebie "niemieckiej demokracji". W tej ostatniej chwili, jaka im zostaje przed odjazdem, zajęci są gorączkowo nie czym innym, tylko urządzeniem terenu, który jeszcze mają w rękę, dla najlepszego wyszkolenia niemieckich celów przez przyszłą Drugą Republikę. Już nawiązują do przyszłości. Już dbają o to, żeby najmniej uronić z "odwiecznych" planów niemieckich.

Przeciętny czas życia Polaka w obozie koncentracyjnym wynosi dziś już tylko sześć miesięcy (w r. 1942 wynosił dziewięć miesięcy). Przeglądając opisy z obozów koncentracyjnych natrafiam na takie zdania: "W Dachau najliczniejszą grupę stanowiły Niemcy. Niektórzy z nich są tu już 8 lat". Zapewne, nie jest rzeczą przyjemną żyć, i to 8 lat, w warunkach obozu koncentracyjnego, ale zawsze przyjemniejsze jest to, niż po sześciu miesiącach umrzeć z głodu, zimna i bicia. Dla najgorzej z nienawidzonych przez regime hitlerowski Niemców oboz koncentracyjny jest miejscem życia, podłego życia, ale życia; dla Polaka jest on miejscem śmierci.

Ta różnica wypływa z faktu, którego się niedocenia, że hitlerizm ma poczucie organicznej łączności z całą historią przeszłą i całą historią przyszłą narodu niemieckiego. Ma poczucie, że jest etapem rzeczy stałej, a nie jednorazowej. Nic nie jest dokładniejszym dowodem na to, że Niemcy i hitlerizm to jedno, jak ta cecha, która w sposób nieprzeczuwany zmanifestowała się w bieżących miesiącach uświadomienia sobie przez Niemców nieuchronności klęski, przez załatwianie zadań ogólnomiejskich, a nie partyjnych.

Partii hitlerowskiej, jako takiej, nic nie zależy na tym, aby w Lubelszczyźnie mieszkali Niemcy. Tylko człowiek naiwny może sądzić, że SS-mani w Lubelskim walczą obecnie o utrzymanie hitlerizmu przy władzy. SS-mani walczą w tej chwili nie o trwanie hitlerizmu, o którym wiedzą, że odchodzi, ale o zadania niemieckie, które nie odchodzą i pozostaną, jak im się zdaje na podstawie znajomości zwycięzców po tamtej wojnie i zachowania się zwyciężających obecnie.

6.

W dn. 2 maja 1943 r. zastępca podsekretarza stanu, A.A. Berle, powiedział w mowie ogłoszonej w Bostonie:

"Żadna grupa rządzących, żadna partia nie mogłaby podjąć, przeprowadzić, ani wykonać programu generalnej rzezi ludności cywilnej bez milczącego przynajmniej przyzwolenia wielkiej części narodu niemieckiego. To wina powszechna wśród narodu niemieckiego,

¹⁾ "Szczególnie interesujące są uwagi autora — pisze jeden z recenzentów tej książki — o znanej książce Fryderyka Naumanna pt. "Mittel-Europa", ogłoszonej w 1915 r., a inspirowanej z góry. Zawiera ona w najdrobniejszych szczegółach doktrynę i program imperialistycznych dążeń Rzeszy cesarskiej. A przecież Naumann był "demokratą", jednym z tych, których robotnicy i socjal-demokraci niemieccy bynajmniej nie uważali za reaktionistę. I jak pisze Geyer "człowiek ten dwadzieścia siedem lat temu wyłożył w kompletnej formie program Rzeszy Hitlera" (str. 31)".

musi stanowić jedno z podstawowych rozważań przy traktowaniu narodu niemieckiego w godzinie jego klęski”.

“Jeśli polityka państwa jest istotnie sprzeczna z wolą narodu, przełożony, który otrzymuje rozkazy, protestuje przeciw ich wydaniu, jego bezpośredni podwładni oświadczają, że nie życzą sobie wypełnić tych rozkazów, a niżej podwładni zawiadamiają dowodzących oficerów, że odnośny rozkaz nie zostanie wykonany. W szybkim skryształizowaniu się woli formuje się nagle grupa, padają słowa — najbardziej nawet bezwzględny i despotyczny dyktator zaczyna się wahać, a w dalszym przebiegu odwołuje rozkazy, które mogłyby w przyszłości zemścić się na jego głowie” . . .

“Jestem przekonany, że jednym z dowodów przy wydawaniu ostatecznego wyroku musi

być pytanie, czy społeczeństwo niemieckie było zdolne i pragnęło zahamować tę nikczemność, czy też potrafi ono tylko chronić się pod zasłonę płacziwych wymówek na temat strachu. Wierzę, że w dniu kapitulacji będziemy mieli prawo zapytać: “Coście uczynili celem przeszkodzenia, by wina zbrodniarzy nazistowskich nie stała się winą narodu niemieckiego?” A po owocach ich będą sądzić”.

7.

To, co jest w tej sprawie z polskiej strony do powiedzenia to to, że w wielkim procesie Niemców — Polska staje ze swymi dowodami i twierdzeniem: *wimien jest cały naród niemiecki*.

Niewierni mogą włożyć ręce w rany.

HORYZONT WOJENNY

DLA Europejczyków najważniejsze są wydarzenia wojenne w samej Europie. Mocarstwa jednak światowe muszą mieć na uwadze, że jest to wojna światowa i to nie tylko ze względu na tereny, na których się toczy, ale przede wszystkim z powodu ścisłych powiązań organizacyjnych i nawet operacyjnych.

Najlepiej to widać na przykładzie t.zw. *Drugiego Frontu*, który dla Rosji Sowieckiej stał się zawołaniem już nie tylko strategicznym, ale wręcz politycznym i propagandowym.

DWIE WOJNY ŚWIATOWE

Sir Walter Citrin, sekretarz generalny Kongresu Związków Zawodowych (T.U.C.), na dorocznym zjeździe, który odbywał się przed kilkunastu dniami w Southport, składając sprawozdanie ze swej niedawnej podróży do Związku Sowieckiego, oświadczył, że nie tylko ze strony sowieckiej stawiano wnioski o uchwalenie kampanii za Drugim Frontem (na posiedzeniu wspólnej anglo-sowieckiej komisji Związków Zawodowych), ale że w każdej fabryce, którą delegaci brytyjscy zwiedzali, zawsze wszyscy mówcy powitalni pytali ich natarczywie, kiedy drugi front zostanie otwarty.

Gdybyśmy jednak — oświadczył Sir Walter Citrin — zażądali od Rosji Sowieckiej baz do ataku na Japonię, czy moglibyśmy prosić naszych sowieckich towarzyszy ze Związków Zawodowych o przeprowadzenie w ich kraju odpowiedniej do tego celu kampanii propagandowej? “Myślę — zakończył Sekretarz generalny T.U.C. — że wystarczy to pytanie postawić, aby odpowiedź stała się jasna dla każdego”.

Nas, w niniejszym wypadku, mniej interesuje polityka zagraniczna czy wewnętrzna Związku Sowieckiego, ile dobitne wskazanie faktu, że Mocarstwa Anglosaskie prowadzą *dwie wojny*, a nie jedną — jak Związek Sowiecki — i że bez wątpienia Związek Sowiecki prowadzi *jedną wojnę* dlatego tylko, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania prowadzą *dwie wojny*.

Dla uważnego obserwatora wypadków nie ulega bowiem wątpliwości, że ciężkie walki toczone przez Amerykanów i Australijczyków, na razie na obwodzie wielkiego japońskiego obszaru warownego, mają bezpośredni wpływ na postawę Japonii wobec Rosji

Sowieckiej. Nie trzeba zapominać o wielkich amerykańskich zwycięstwach morskich w 1942 w. na Morzu Koralowym i przed Wyspą Midway, nie trzeba zapominać, że wedle autorytatywnych oświadczeń *przeszła połowa* amerykańskich sił zbrojnych znajduje się na Pacyfiku, nie trzeba wreszcie zapominać ani o flocie Admirala Sommerville'a na Oceanie Indyjskim, ani o wielkich imperialnych siłach lądowych w Indiach, wiążących uwagę Japonii, ani wreszcie o trwaniu w oporze Chin. To wszystko razem sprawia m.i., że Rosja Sowiecka ma *jeden tylko front*!

Mocarstwa anglosaskie prowadzą *dwie wojny* w skali światowej. Jeżeli jednak zagniemy analizować bliżej jedną z tych wojen — europejską — okaże się, że i tu były *dwie wojny*: niemiecka i włoska i że ta druga została wygrana wtedy, kiedy Anglosasom zarzucano, że źle prowadzą wojnę, bo nie lądują we Francji.

DWIE WOJNY W EUROPIE

Można się było różnie zapatrywać na siłę wojenną Włoch i na skuteczność ich zbrojnych wystąpień. Bodajże sam Winston Churchill ocenił kiedyś potencjał wojenny Włoch na jedną dziesiątą potencjału Niemiec. Różnica ta jednak staje się widoczna dopiero na samym polu bitwy, wszystkie zaś przygotowania wstępne wymagały wysiłków o wiele większych. Wojnę z Włochami musieli Brytyjczycy zaczynać w Abissynii, musieli ją żywić dookoła Afryki, musieli ją prowadzić nie tylko na lądzie i w powietrzu, ale i na morzach.

Ze jednak ta wojna i na samym polu bitwy wymagała znacznego wysiłku, dowodzi fakt wspomniany przez Winstona Churchilla w jego mowie radiowej z Quebecu, że w samej kampanii afrykańskiej wzięto co najmniej pół miliona jeńców. Nie znam oficjalnych cyfr sowieckich odnoszących się do jeńców, ale zaryzykuję tu twierdzenie, że liczba Niemców wziętych przez Rosjan do niewoli wynosi nie wiele więcej niż połowa tej liczby. Nie pomniejsza to oczywiście zasługi ani sławy wojsk sowieckich, które powstrzymały i zadały wiele klęsk najlepszym wojskom świata, zabijając *wielokrotnie więcej* żołnierzy nieprzyjacielskich, niż biorąc do niewoli. Chodzi jednak o niepamiętanie i nie spychanie w cień udziału w wojnie innych państw, gdyż teza że tylko Rosjanie walczą i tylko Rosjanie

mają wyniki militarne, może jeszcze od biedy ująć w propagandzie wewnętrznej, ale w poważnych rozważaniach politycznych i wojskowych, czy choćby tylko publicystycznych, miejsca mieć nie może.

METODY POLITYCZNE

Jeden z krytyków brytyjskiego Premiera, bardzo żywy polemista poseł Aneurin Bevan, zwrócił w “*Tribune*” uwagę, że wśród 400 tysięcy żołnierza stawiającego czoło Aliantom na Sycylii, ogromną większość stanowili Włosi, którzy nie chcieli się bić m.i. ze względów politycznych. Argument to całkowicie słuszny, ale nie do użycia na rzecz Sowietów, bo te zawsze traktowały swoje metody wojenne *politycznie* i to, że dotąd nie odniosły w tej wojnie sukcesów ideowo-politycznych, powinno i im samym i innym uczestnikom naszej Koalicji wojennej dać wiele do myślenia. Wojna toczy się już piąty rok, Włochy nie wytrzymały w tej wojnie nie tylko nacisku militarnego ale i politycznego Aliantów Zachodnich. Tymczasem Sowiety nie odniosły żadnych większych sukcesów propagandowo-politycznych. Gdyby mierzyły swoje pojęcia doświadczeniami z wojny poprzedniej, w której rewolucja rosyjska wybuchła w połowie trzeciego roku wojny, to musiałyby być zawiedzione. Nic podobnego nie stało się dotąd w głodzonej i dręczonej przez Niemców Europie i nie stanie się, jeżeli nie zostanie narzucona siłą z zewnątrz. W jakim kierunku zaś idzie rozwój pojęć, najlepszym dowodem ostatnie zmiany w Sowietach: wprowadzenie stopni wojskowych i odznak nie tylko w siłach zbrojnych, ale i na kolejach, tytuły dywizyj Gwardii, tytuł Marszałka przybrany przez właściwego Szefa Związku Sowieckiego, premiera Stalina, próby uregulowania stosunku z Cerkwią Prawosławną, a nawet zniesienie koedukacji w szkołach. Na pewno nie jest to zmiana programu i doktryny sowieckiej, wydaje się jednak, że jest w tym powolne ustępowanie przed rzeczywistością, przed *realiami*, które w wojnie zawsze dochodzą do głosu. W wielu wypadkach jest to ustępowanie przed nawracającą rzeczywistością rosyjskiego podłoża narodowego, co powinno — gdyby w polityce obowiązywała logika — zwrócić uwagę polityków sowieckich na podobne *realia* nie tylko u nich, ale i w innych krajach.

OPERACJE WOJENNE W EUROPIE

Najogólniejszy obraz szyku wojennego po naszej stronie jest taki, że Zachodni Alianci mają w Europie i północnej Afryce *ogromne siły lotnicze*, wystarczające do obecnych zadań morskie, wolno natomiast wnioskować, iż ich siły lądowe nie odpowiadają jeszcze

¹⁾ Jeden z komunikatów wojennych moskiewskich ogłosił nie dawno, że w okresie od 5 lipca do 5 września 1943 roku 420 tysięcy Niemców padło w walkach z wojskami sowieckimi, że liczba rannych Niemców w tym czasie przekracza milion i że 38,600 tylko zostało wziętych do niewoli. Jeżeli cyfry zabitych i rannych wydają się nam przesadzone (zabitych można ewentualnie liczyć w ruchu naprzód — jeżeli się ma czas na to; rannych policzyć nie można, bo tych których policzono, włączono niewątpliwie do liczby jeńców), to liczby jeńców brzmiały przekonująco i z jednej strony świadczą o zaciętości walk, w których tak mało jeńców wzięto, a z drugiej jednak i o tym, że ani razu w tych walkach nie otoczono większych sił niemieckich.

liczebnością wielkich jednostek siły lotnictwa. Trzeba bowiem pamiętać, że sama Marynarka Królewska prawdopodobnie dochodzi do miliona ludzi swoich stanów obecnych, że istnieje i rozwija się ogromne lotnictwo, że wreszcie pełną parą funkcjonuje ogromny przemysł wojenny. Nie można wymagać, by mocarstwo morskie — jak Wielka Brytania — miało równie liczne wszystkie działy Sił i Służb, oraz żeby dorównywało w wojskach lądowych największym potęgą kontynentalnym, które nie mają ani takich zadań morskich ani przemysłowych. Stwierdzenie to nie pomniejszy zresztą ani na jotę waloru brytyjskich armij lądowych, opanowania sztuki wojennej przez ich dowódców, nierównanego męstwa oficerów i żołnierzy i wspaniałego wprost uzbrojenia.

Podobna sytuacja istnieje w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, które musiały równocześnie rozbudować Wojsko, Marynarkę i Lotnictwo oraz największy na świecie przemysł uzbrojeniowy. Szef Sztabu Wojsk U.S.A. Generał George C. Marshall, oświadczył ostatnio w sprawozdaniu dla Sekretarza Stanu Stimsona, iż Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych wzrosły w ostatnich dwu latach (w okresie od 1 lipca 1941 do 30 czerwca 1943) o pięć milionów ludzi, że jednak w liczbie tej należy uwzględnić rozwój lotnictwa liczącego 182 tysiące oficerów i 1.906.000 żołnierzy! Jeżeli do tego doda się, że siły amerykańskie musiały pokonać trudności należytej organizacji wyszkolenia większe, niż w Wielkiej Brytanii, bo niepoprzedzone ani doświadczeniami ani dorobkiem z pierwszych dwu lat wojny i że taka np. Piąta Armia, walcząca dziś w rejonie Neapolu, właściwie szkolona była dopiero w Afryce Północnej, a więc musiała opuścić kraj bez ostatecznego wyszkolenia — to będzie się miało wtedy obraz trudności państw muszących zaczynać organizację oddziałów frontowych właściwie od początku i od podstaw. Wreszcie wspomnieliśmy już, że połowa przeszło wszystkich Sił Zbrojnych U.S.A. zaangażowana jest w wojnę z Japonią.

Mając to wszystko na uwadze, zrozumiemy, iż ogromne lotnictwo brytyjskie i amerykańskie w Europie i w Afryce działało na rzecz tego sojusznika, który dysponował odpowiednio silnymi wojskami lądowymi: t.j. na rzecz wojsk sowieckich. Taka jest logika strategiczna i wewnętrzny sens operacji wojennych na europejskim teatrze wojny w ostatnim półroczu! *Zwycięstwa sowieckie nie były by możliwe, gdyby nie wojna lotnicza prowadzona z tak ogromnym napięciem przez Anglo-Sasów przeciw siłom i zasobom Osi.* Jest to tak jasne, że pomijamy zupełnie dowody cyfrowe, które każdy Czytelnik może sobie łatwo zrekonstruować z materiałów publikowanych przez prasę.

ROWNOWAGA NA FRONCIE WSCHODNIM

Zwycięstwa sowieckie tego lata nie byłyby równie możliwe, gdyby nie działania lądowo-morskie sił brytyjskich i amerykańskich w Afryce, na Sycylii i we Włoszech samych. Tu musimy chwilę uwagi poświęcić zagadnieniu stanów liczbowych i zasobów ludzkich obu głównych przeciwników kontynentalnych t.j. Niemiec i Rosji. Nie będziemy zresztą przedkładać cyfr.

Stany liczbowe można określić, jeżeli się ma dokładną statystykę demograficzną danego państwa. Po prostu analizuje się cyfry określające poszczególne klasy wieku mężczyzn i — co ostatnio weszło już wszędzie

do analizy militarnej — kobiet. Z tego trzeba obliczyć lub ocenić potrzeby przemysłu wojennego, służby bezpieczeństwa, garnizonów wewnętrznych, obrony przeciwlotniczej, wszelkiego rodzaju administracji publicznej — a resztę można przeliczyć na jednostki wojskowe. Jeżeli się jeszcze jest w stanie porównać tę kalkulację z *ordre de bataille*, z rozstawieniem sił militarnych nieprzyjaciela w terenie, znanym z danych zaczerpniętych na froncie, oraz z wywiadu, a wreszcie ze stratami, poniesionymi naprawdę przez nieprzyjaciela, powstaje obraz dość wyraźny.

Głównym przeciwnikiem Niemiec na Kontynencie w obecnej fazie wojny były Sowiety, których zasoby są trudniejsze do obliczenia wobec braku odpowiednich statystyk demograficznych, a przynajmniej wobec braku odpowiednich publikacji, nie mniej jednak nie są niemożliwe do oceny i oszacowania. Liczby te nie były obce Sztabowi niemieckiemu, obca mu jednak było najzupełniej sowiecka zdolność do uruchomienia tych zasobów i wprowadzenia ich do walki na froncie w sposób zorganizowany i celowy.

Otóż nie ulega dziś wątpliwości, że na froncie sowieckim nastąpiła równowaga sił, wynikająca z tego, że przewaga liczbowa stanów i rezerw sowieckich zrównoważona została częściową wyższością operacyjną i taktyczną dowództw i oddziałów niemieckich. (Wyższość strategiczna pozostała po stronie sowieckiej, a to wobec zaangażowania się Niemców równocześnie w wojnę na Zachodzie i Południu).

Tak też rozumie sytuację wojenne kierownictwo sowieckie, które domaga się odciążenia z frontu w Rosji jednej trzeciej, lub choćby tylko jednej czwartej, efektywów niemieckich, t.j. najmniej 60 wielkich jednostek. Stanowi to, wraz z oddziałami dowodzonymi z wyższych szczebli i służbami, do półtora miliona ludzi! Obliczenia sowieckie wskazują, że front niemiecki osłabiony o te oddziały musiałby pod lawiną sowiecką pęknąć już w tym roku.

Obliczenia i rachuby niemieckie na pewno muszą być podobne, ale wnioski — inne. Niemcom musi chodzić o przedłużenie wojny ze względów politycznych, co jest zagadnieniem osobnym, ale i ze względów strategicznych. Niemcy liczą zapewne, że Sowiety doszły do szczytu swoich możliwości ludzkich, gdyż mobilizację "totalną" przeprowadziły na przełomie 1941-42. Niemcy muszą wiedzieć najlepiej, jaki jest udział kobiet w służbach wojskowych sowieckich, czasem w jednostkach walczących, i co to naprawdę oznacza z punktu widzenia gospodarowania ludzkimi zasobami. Niemcy liczą, że ich własna mobilizacja "totalna", przeprowadzona na przełomie 1942-43, daje im jeszcze pewne możliwości, zwłaszcza że i straty niemieckie musiały być niższe, niż podawano w komunikatach sowieckich (Harry L. Hopkins, jeden z najwyższych postawionych ludzi w świecie oficjalnym amerykańskim, ocenia t.zw. straty bezpowrotne niemieckie — *permanent military casualties* — na przeszło trzy miliony ludzi). Więc też Niemcy usiłują prowadzić na froncie wschodnim "wojnę na zwyciężcę" (*attrition war*), a równocześnie gromadzić rezerwy strategiczne, by Brytyjczykom i Amerykanom zadać ciężkie klęski w odpowiednim momencie na lądzie europejskim. Niemiecy komentatorzy wojenni zapowiadają to otwarcie i nie ma powodu, żeby im nie wierzyć.

Więc Niemcy cofają się na froncie sowieckim, bo nie chcą zużyć swoich rezerw gromadzonych zdala od tego frontu. Natomiast

wobec naporu sowieckiego Niemcy nie mogą tych rezerw tworzyć z wojsk frontu wschodniego, nawet wobec skracania tego frontu w wymuszonym na nich, choć regulowanym, odwrocie. Ma rację tedy zapewne *The Times*, kiedy twierdzi, że rezerwy strategiczne niemieckie powstają w ten sposób, iż jednostek odtwarzanych w kraju Dowództwo niemieckie nie wysyła na front sowiecki, a nie wysyła ich dlatego, iż od listopada 1942 — chwili lądowania w Afryce — Niemcom grozi inwazja anglo-amerykańska.

I tu leży istota pomocy w operacjach lądowych, udzielanej Sowiетom przez Mocarstwa Zachodnie. Zwolennicy sowieckiego punktu widzenia głoszą, iż Niemcy niewycofali ani jednej dywizji z frontu wschodniego pod wpływem działań anglosaskich. Ale nie mogą już ci zwolennicy twierdzić że Niemcy z zachodu wysyłają dywizje na wschód. *Gdyby nie działania lądowo-morskie anglo-amerykańskie, niemieckie Dowództwo napewno byłoby zdolne do utworzenia grupy uderzeniowej złożonej z około stu dywizji na froncie wschodnim i wtedy zobaczylibyśmy, jakby ten front wyglądał.*

Trzeba zresztą brać pod uwagę i zagadnienia komunikacyjne. Zaleta komunikacji po liniach wewnętrznych, zamiast po obwodzie, ma tak długo swój sens, dopóki te linie wewnętrzne są w odpowiednim stosunku matematycznym do obwodu "koła". Jeżeli jednak dziś Anglo-Amerykanie działają w Europie Południowej z pośredniej bazy afrykańskiej, a nie bezpośrednio z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, a linie niemieckie wewnętrzne są o tyle dłuższe od tych linii w wojnie poprzedniej, o ile głębiej wleźli oni do Rosji, Francji i Włoch — to i nic dziwnego, że Dowództwo niemieckie stara się ograniczyć współzależność operacyjną swoich różnych frontów i unika ciągnięcia poprzez cały prawie kontynent Europy po 80 pociągów dla każdej przewożonej dywizji. Więc naszym zdaniem niezabieranie z frontu w Rosji ani jednej dywizji niemieckiej, jeżeli to twierdzenie jest ścisłe, opierać się musi nie tylko na nowych koncepcjach strategicznych, ale i na trudnościach komunikacyjnych.

Jeżeli zaś wojska niemieckie w Sowiech nie są od dłuższego czasu uzupełniane z kraju, na co wiele danych wskazuje, efekt liczbowy jest tem sam, albo bliiski, jakiby był, gdyby 60 wielkich jednostek Niemcy przenieśli na Zachód. Wydaje się nam jednak, że tej ewentualności Niemcy w ogóle nie biorą pod uwagę, nawet w wypadku jeszcze cięższych walk na Zachodzie. Wynikać się to zdaje z ich konyderacji politycznych.

NIEMIECKI PUNKT WIDZENIA

Jakież bowiem przedstawia się najogólniej sytuacja z niemieckiego punktu widzenia? Nie ulega wątpliwości, że wojna z Rosją jest dla Niemiec jednym długim pasmem strategicznego zaskoczenia i serii zaskoczeń taktycznych. Niemcy wydarły Rosji Ukrainę i Zagłębie Donieckie na dwa lata i gdyby nawet obecna ofenzywa rosyjska miała te niesłychanie ważne tereny przywrócić Rosji, produkcja węgla napewno nie zaznaczy się w rosyjskim wysiłku wojennym przed upływem pół roku conajmniej od chwili wyzwolenia, produkcja zaś pszenicy przed upływem dwu lat. Ponadto w 1942 r. Niemcy zniszczyli roczną produkcję rolną Obszarów Dońskiego i Kubańskiego. Niemcy jednak nie zdawali sobie sprawy, że Uralski Okręg Przemysłowy i tak już w programie pokojowym miał być czynny na ogromną skalę w 1942 r., to jest

na zakończenie trzeciego ogólnosowieckiego planu pięcioletniego. A dziś Rosja sowiecka tym właśnie okręgiem przemysłowym prowadzi wojnę.

Totalna mobilizacja ludności do wysiłku wojennego zapewniła wojskom sowieckim pełne szeregi, długoletni wysiłek organizacyjno-militarny zapewnił im dobrze wyszkolony korpus oficerski, własna zaś produkcja przemysłowa zapewniła broń. Piechota jest tam teraz uzbrojona na olbrzymią skalę w broń przeciwpancerną i wygląda na to, że drużynę piechoty stanowi zawsze karabin przeciwpancerny oraz dwa karabiny lekkie maszynowe; artyleria jest niesłychanie liczna (zorganizowana często w jednostki wyższe niż pułk) i dobrze wyszkolona i uzbrojona również w działą własnej sowieckiej produkcji. Oba tym broniom przemysł zapewnia amunicję w dostatecznej ilości. Pomoc zaś Aliantów zachodnich wyraża się przede wszystkim w lotnictwie i broni pancernej, w których to dziedzinach jednak własna produkcja Sowieców jest również podstawą uzbrojenia.

Jakżeż przedstawia się kwestia żywienia? Najgorzej ze wszystkiego. Wystarczy przytoczyć za częścią prasy londyńskiej następujący ustęp ze sprawozdania Prezydenta Roosevelta dla Kongresu o działalności *Lease and Lend Billu*:

„Tak krytyczne są potrzeby Związku Sowieckiego, iż w kilku wypadkach już ładunki uzbrojenia, gotowe do zaokrętozowania w portach amerykańskich, pozostawiono na bieżek, żeby przeznaczyć uzyskaną w ten sposób pojemność transportową na ładunki żywności.

„Setki tysięcy ton pszenicy, mąki, mięsa, cukru, tłuszczów i oliwy wysłano okrętami do Rosji.

„Przyniosło to materialną pomoc rosyjskiemu wysiłkowi wojennemu, nie było jednak dostatecznie duże, żeby w znaczniejszym stopniu poprawić wyżywienie ludności cywilnej.”

Niemcy muszą wiedzieć o tym, jaki jest w najogólniejszych zarysach stan potencjału wojennego rosyjskiego, choćby dlatego, że ten potencjał wyraża się w stanie wojsk sowieckich na froncie. Niemcy więc prawdopodobnie liczą, że jeżeli dostatecznie długo przeciągać będą walkę z Sowiecami, przeciwnik wejdzie w stan ostrzejszego kryzysu żywnościowego, a może i stanów liczbowych wojska. Niemcy liczą na *zestąpienie* przeciwnika sowieckiego i może nawet na dogadanie się z nim w tym czasie. Znamienna była pod tym względem ostatnia mowa Hitlera, w której nie atakował on wcale Związku Sowieckiego, gromy zaś rzucał na „antysocjalne” i „reakcyjne” koła włoskie. Oświadczył też, że jego życie należy do narodu niemieckiego, które to zdanie pozwala na snuć różnych — może fantastycznych — wniosków, a to wobec polityki sowieckiej potępiającej wyłącznie Hitlera i partię, a oszczędzającej armię niemiecką.

Operacyjnie zaś dowództwo niemieckie dąży do zachowania swoich sił żywych i sprzętu za cenę oddawania przestrzeni. Liczy też ono na to, że wydłużone linie komunikacyjne Rosjan nie pomogą im, lecz przeszkodzą w nowej ofensywie zimowej, do której Niemcy pod względem technicznym może będą lepiej przygotowani, niż w ciągu dwu zim poprzednich.

Na Zachodzie zaś Niemcy liczą na swoje duże możliwości również nie strategiczne, lecz operacyjne. Ładowania Aliantów zachod-

nich pociągają za sobą bitwy z głównymi siłami niemieckimi. Miejsca i rejony tych bitew można mniej więcej przewidzieć, bo ich tak wiele w Europie nie ma, najmniej zaś jest ich w Europie Zachodniej. Wyniki zaś bitew tego rodzaju zależą w znacznej mierze od czynników nieprzewidzianych: od zrealizowania wielu warunków na miejscu, w samej bitwie. Niemcy do tych bitew oszczędzali swoje lotnictwo. Jeżeli im się w paru bitwach poszczęści — a w wojnie ruchowej i bitwie ruchowej wiele zależy nawet od szczęścia — liczą na to, że zyskawszy na czasie może zdolają dogadać się albo ze stroną wschodnią, lub zachodnią, Sprzymierzonych. Może w jakiś sposób — dyplomatyczny albo militarny — interweniować będzie Japonia?

Co się zaś tyczy niemieckiego odcinka wewnętrznego, trzeba krótko stwierdzić, że Sztab niemiecki dobrze przestudiował doświadczenia frontu wewnętrznego z tamtej wojny i że te studia zapobiegają wielu objawom, zdawało by się, nie do opanowania. Poza tym jest Himmler i fala wszczętego przez niego terroru wewnętrznego. Najgorsze jest dla Niemców bombardowanie anglo-amerykańskie, ale powstaje kwestia, jaka jest granica tego wysiłku z jednej, a niemieckich środków obrony bierniej i czynnej, z drugiej strony.

Niemcy więc w czasie najbliższym będą się bić i dużo serca włożyć w walkę. Inna rzecz, czy ich rachuby zawiodą prędzej czy później. Nie ulega jednak kwestii, że ich zawiodą. Na Wschodzie muszą się cofać, a ich obliczenia możliwości rosyjskich mogą ich zawieść, bo Rosji nigdy nie można zmierzyć miarą nierosyjską — czy to europejską czy azjatycką. Na Zachodzie już się zawiedli i to na Aliantach jako przeciwnikach i na Włochach jako sojusznikach. Niemcy wiedzą, że tę wojnę przegrali, a jednym z najbardziej charakterystycznych objawów tego, że z przegranej zdają sobie sprawę, było ich poddanie się w uzbrojonej masie w Tunisie. Niemcy nie walczą już o nawet o honor. Walczą tylko tam, gdzie jeszcze mogą mieć wyniki, gdzie tych perspektyw nie będzie, poddadzą się by zachować żywe siły narodu niemieckiego — do przyszłej wojny. To będzie celem ich gry.

NOWE SIŁY

Równocześnie zaś na horyzoncie wojennym zarysowują się nowe siły, które już odgrywają rolę istotną wewnątrz forticy europejskiej, a mogą nabrać bezpośredniego znaczenia militarnego. Są to siły ujarzmionych narodów: francuskiego, polskiego, Jugosłowian Greków, i innych. Narody Sprzymierzone mają ogromne lotnictwo i wspaniałe wojska pancerne i w ogóle techniczne, — zaznaczyliśmy na początku. Mają ogromną flotę do transportu i zaopatrzenia. Najmniej zaś mają zwyczajnych wielkich jednostek t.zw. piechoty, choć mają dla nich uzbrojenie w nieograniczonej ilości. Trzeba te różne wielkości do siebie dopasować i zharmonizować. Trzeba nie dać się pobić przy ładowaniach i w pierwszych bitwach. A potem trzeba tylko dostarczyć broni wojownikom europejskim. Zadatki tego już są w postaci Armii Francuskiej w Północnej Afryce, w Siłach Zbrojnych polskich na Środknim Wschodzie i w Wielkiej Brytanii. Wyniki mogą być tak wspaniałe, iż staną się nie tylko istotą zwycięstwa w tej wojnie, ale i zadatkami na nową, lepszą Europę, która nie tylko nie będzie ogniskiem kłopotów dla mocarstw światowych, ale na nowo źródłem energii dla postępu całej ludzkości.

ZASTĘPCA

NOTY I UWAGI

JAK PRACUJE

MINISTERSTWO INFORMACJI

W dniu 29 sierpnia 1943 odczytany został w Niemczech z ambon w kościołach list pasterski kardynałów i biskupów niemieckich. W dniu 7 i 8 września 1943 wyjątki z tego listu ogłoszone zostały w prasie angielskiej. Nie znalazłem echa tego listu w prasie polskiej, zwłaszcza w prasie oficjalnej.

A list to ciekawy. Nie tylko dlatego, że celem jego jest między innymi rehabilitacja niemieckiego katolicyzmu w oczach cywilizowanego świata. Już i sam ten problem zasługuje na baczną uwagę kół polskich. List jednak zawierał sprawy Polski dotyczące bezpośrednio.

Wedle tekstu przytoczonego przez *“Daily Telegraph”* list stwierdzał:

„Wielu Chrześcijańców narazonych jest jeszcze na poważne konflikty sumienia, co w Warthegau równa się prawie całkowitemu zgębieniu praktyk religii chrześcijańskiej”. (*“Many Christians are still subjected to severe conflicts of conscience which in Warthegau is equivalent to almost complete suppression of the exercise of the Christian religion.”*)

„Daily Telegraph” zaznacza od siebie, że *“Warthegau”* to terytorium polskie i dodaje: „Autorzy listu prawdopodobnie mieli na myśli niemożliwość spełniania praktyk chrześcijańskich, jeżeli nie rezygnuje się z sił zbrojnych” (*“Here is probably meant the impossibility of being a practising Christian unless one renounces his livelihood or deserts the armed forces”*).

Oczywiście, *Daily Telegraph* nie wie o tym, że to Polacy w ziemiach „inkorporowanych” do Rzeszy ustawowo pozbawieni są możliwości brania udziału w wielu praktykach religijnych. Bo i skąd *Daily Telegraph* ma o tym wiedzieć, jeżeli mu Polacy nie powiedzą? *The Times* nawet tej wzmianki o Warthegau nie zamieścił w swojej relacji o liście biskupów niemieckich! *The Times* bowiem zwykle korzysta z usług swojego „polskiego korespondenta”, a ten pisuje tylko wtedy, jeżeli nadarzy się sposobność zaznaczenia, że jakiś polski minister jest mężem stanu, bo jest ustępliwy, albo że np. Stronnicтво Ludowe to największe polskie stronnicтво.

Sądze, że list pasterski biskupów niemieckich nadawał się znakomicie do poruszenia w opinii świata przesładowań religijnych w Polsce i do oświetlenia jak hierarchia kościelna katolicka w Niemczech milczkiem zgodziła się na hitlerowskie zarządzenia w sferze religijnej.

Byłoby to zadaniem Ministerstwa Informacji, gdybyśmy je mieli. Na razie bowiem mamy tylko urząd, który jest domeną ludowców, ale od czasów Stronńskiego obsadzony jest tak, jakbyśmy żyli w pierwszym wieku przed Chrystusem, a za czasów Kota zajmuje się też więcej Reformacją, niż koniecznymi reformami.

Polska, największy naród katolicki po tej stronie frontu, nie tylko z tego powodu nie zyskuje nic na arenie światowej, ale przy takich mądrych ministrach traci jeszcze wewnątrz samego świata katolickiego. Polityka Watykanu co raz widoczniej liczy w Europie raczej na katolicyzm niemiecki, niż polski, a wszystkie posunięcia kół rządowych polskich w Londynie są jakby obliczone na dostarczenie naszym konkurentom wewnątrz katolicyzmu argumentów i uzasadnień.

OBSZARNICY I PARCELACJA

W nowojorskim "Nowym Świecie" Ignacy Matuszewski omawia w obszernym artykule zarzuty niektórych amerykańskich publicystów, iż Polska była rzekomo krajem "obszarników". Cytujemy tu z tego artykułu szereg ciekawych ustępów . . .

"Przyjrzyjmy się więc bliżej tej 'arystokracji', jej liczbie, jej sile gospodarczej, jej bogactwu.

"Czy uważacie, że ktoś, kto posiada 125 akrów ziemi — jest 'obszarnikiem?' Napewno nie. No to posłuchajcie. W 1936 roku, w Polsce, rolnicy posiadający *mniej*, niż po 125 akrów roli zebrali: pszenicy 15 i pół milionów korcy, żyta — 57 milionów q., kartofli — 282 mil. q., owsa — 22 mil. q. Odpowiednie cyfry dla całości gospodarstw, przekraczających 125 akrów na posiadacza wyniosły: pszenicy — 4 i pół mil. q., żyta — 9 mil. q., owsa — 4 mil. q., kartofli — 42 mil. q. Małe gospodarstwa (do 125 akrów) posiadały ogółem 3 miliony koni — większe gospodarstwa: 400 tys. koni; małe gospodarstwa: 8 mil. sztuk bydła — większe: 700 tys. sztuk bydła; małe gospodarstwa: 6 mil. świń — większe: 400 tys. świń; małe produkowały 8 mil. litrów mleka — większe: 800 tys. litrów. Wreszcie te gospodarstwa mniejsze, od 125 akrów w dół, posiadały: 80 procent całości gruntów ornych, 71 procent pastwisk, 54 procent łąk i 83 procent sadów oraz ogrodów całej Polski. Tak to wyglądała jej "obszarnicza" budowa i siła gospodarcza jej obszarników. (Dane wedle Małego Rocznika Statystycznego za rok 1936).

"Niech czytelnik nie myśli, że to koniec statystyki. Trzeba obejrzeć i zapamiętać inne jeszcze cyfry.

"W Polsce w 1921 r. własność rolna gospodarstw, liczących powyżej 250 akrów (też, panie dobrodzieju, niebardzo to wielki obszar 250 akrów!) wynosiła 27,2 procentu wszystkich użytków rolnych. W r. 1938 w rękach właścicieli gospodarstw ponad 250 akrów — pozostało już niecałe 15 procent użytków rolnych. A zatem właśnie w czasach rzekomo "obszarniczych" rządów Polski Niepodległej rozparcelowano przeszło 8 mil. akrów. Pozostało zaś w rękach właścicieli gospodarstw, liczących ponad 250 akrów — wszystkiego niecałe 10 mil. akrów. Dziwne to tedy były rządy obszarnicze, które oddały tyleż prawie, co sobie samym pozostały.

"Ustawa o reformie rolnej stanowiła, że maximum władania, nie podlegającego już zmniejszeniu wynosi 370 akrów (z wyjątkami dla pewnych gospodarstw i okolic). W roku 1938 wszystko to, co ktokolwiek posiadał jeszcze ponad ustawowe maximum — wynosiło ogółem 2 miliony 200 tys. akrów. Właścicieli takich było 20 tysięcy. Przeciętnie tedy na "wielkiego" właściciela wypadało 110 akrów nadwyżki ponad ustawowe maximum. To też przeciętny "obszarnik" polski, o którym tak rozpisyuje się prasa komunistyczna, a za nią niestety część prasy amerykańskiej i angielskiej — posiadał przeciętnie wszystkiego 480 akrów użytków rolnych.

"Oto prawdziwa z cyfr, nie zaś z agitacji wyjęta postać polskiego "obszarnika". Dwa-dziesiąt tysięcy właścicieli, posiadających przeciętnie po 480 akrów! Jakież to dalekie od głupich powieści, i tendencyjnych artykułów! Jakież to dalekie od demonicznych postaci polskich "feudałów", żyjących beztrudno z pracy uciśnionych milionów.

"Fikcyjny "obszarnik polski" — jest dzisiaj już tylko wytworem wyobraźni rzeczywistych, amerykańskich i nieamerykańskich, ignorantów".

"Dlaczego tyle uwagi poświęcam oświele- niu struktury rolnej w Polsce?

"Dlatego, że Polska nie jest państwem "junkrów", lecz jest tak przedstawiana światu. Co gorzej — świat w to wierzy.

"Jest coś tragi-komicznego w tym, że w Anglii, posiadającej bez porównania wyższy odsetek wielkiej własności ziemskiej — wielu Anglików pisze o Polsce, jako o kraju obszarniczym. Ale tak jest. Przeciętny "obszarnik" polski ma 480 akrów — w Stanach Zjednoczonych gospodarstwa *ponad* 500 akrów obejmują więcej niż jedną trzecią całej powierzchni użytków rolnych. (Encyclopedia Britannica lit. A. str. 405, wydanie 1943). Jednak wielu Amerykanów przekonano, że w Polsce panują magnaci rolni, których tu zupełnie niema. Kłamstwo się przyjęło, trzeba je zwalczać. Albowiem jest ono używane przez naszych wrogów nie w celu parcelacji majątków, ale w celu ostatecznego rozparcelowania Państwa Polskiego".

"P. Johannes Steel napewno jest bogaczem i milionerem w stosunku do *każdego* Polaka, któremu udziela lekcji i napomnień. Każdy z naszych mentorów napewno jest sybarytą, w którego ustach kazania brzmią jak szy-

derstwo. Kto ma prawo uczyć Polaków równości — kiedy naprawdę tylko w Polsce wszyscy ludzie są równi, spoglądając o każdej godzinie dnia i nocy z równą odwagą w oczy śmierci. Ten legion Steelów, Adlerów, Katelbornów i Stewardów z wygodnych foteli wyrzucający kłamliwie tym co umierają w Polsce i tym co umierają na polskich od dziesięcioleci szlakach Sybiru, że źle żyli — prowadzi dalej to samo dzieło które prowadził przez lata; dopomaga naszym wrogom.

"Napewno jest w Ameryce więcej ignorantów, piszących o polskich obszarnikach, niż w Polsce było obszarników. I z nimi to dzisiaj trzeba walczyć — jeśli się chce ocalić nasz kraj daleki, w którym niema już dzisiaj ani biednych, ani bogatych, są tylko walczący żołnierze".

W innym miejscu tegoż artykułu zaznacza Matuszewski, iż ci amerykańscy oczerniciele Polski jako kraju "obszarników" głoszą dzisiaj to, co wczoraj głosili niektóre urzędowe koła polskie. Twierdzeniu temu nie można odmówić słuszności. Koła owe naturalnie nie zdawały sobie sprawy z tego, iż ich wewnętrzno-polska demagogia zwróci się z czasem przeciw nim samym.

DWA KONWOJE

UJŚCIE Tamizy leży całe w porannej mgłę.

Nad niziną Kentu mgła jest gęstsza, ale i po drugiej stronie rzeki widać tylko szczyty pagórków Essexu, jakieś napół rozpuszczone we mgłę nierealne sylwetki drzew i budynków. Na rzece, wzrok daremnie usiłuje przebić gęstą, nieprzeniknioną zasłonę.

Czasami, wśród lekkich powiewów wschodniego wiatru, dostrzec można tu i ówdzie szczyty masztów, dalej na południe biją ku niebu smugi dymów z niewidzialnych jeszcze kominów. Gdyby nie błyskające w słońcu plamy balonów, nic by nie wskazywało, że konwój jeszcze drzemie na kotwicach, czekając sygnałów z ładu i opadnięcia mgły.

Około siódmej wiatr, nieco wzmaga się i przepędza na zachód ławę gęstej, nocnej mgły. Teraz w ujściu Tamizy snują się tylko rzadsze, poranne opary. Z mgieł dobywa się wyższy, północny brzeg, południowe niziny Kentu rysują się już w postaci cieniutkiego, ledwo dostrzegalnego paseczka barwy rozrzedzonego indygo. Najuporczywsze są mgły na rzece, ale i tu dobywa się co chwila nowa, niespodziewana sylwetka.

Ośma. Mgły jeszcze marudzą na rzece, choć brzeg jest już cały w słońcu. Marudzi jeszcze i *comodore*, czeka na jakieś sygnały z ładu, choć całe jego stadko jest już gotowe ruszyć ku wyjściowemu pławom.

Teraz można przyjrzyć się całemu towarzystwu, które wyległszy z mglistej topieli, z trudem nabiera realnych kształtów i cech.

Co za nieprawdopodobna zbieranina wó- czków!

Przed wojną, okręty unikały się nawzajem, chodząc zawsze własnymi drogami, dbając o własną indywidualność, ekskluzywność bander, odrębność sylwetek, kompanijnych znaków i zwyczajów. Wojna je wszystkie ujednoliciła, wszystkim nadała jeden, wspólny bojowy kolor, i wspólnym niebezpieczeństwem narzuciła instynkt gromady. Ale to są tylko pozory. Konwój jest wojenną koniecznością, a w ramach konwoju, jednostki dalej zachowują swoje prawa i zwyczaje.

Na redzie jest pół tuzina bander, i okazy budownictwa okrętowego całej Europy z przeszłego półwiecza.

Obok nas stoi prawdziwy antyk, znany nam

dobrze z bałtyckich portów Estończyk, który po zmienienu dziesięciu armatorów, powrócił na czas wojny do swej pierwotnej, macierzystej bandery. Załoga, starym zwyczajem żaglowców ma kubryki na dziobie, na śródokręciu kręci się koło kuchni jakaś kobieca sylwetka, mostek piętrzy się niemal równo z kominem, ot — typowa, przechodzona, morska siedziba starych, ostzejskich żeglarzy.

Dalej jest Holender. Solidny, masywny, na urząd robiony u starowynnych stocznio- wych majstrów, nie przejmując się późną godziną, czeka na sygnały. Z kształtu nadbudówek i mostku, też widać, że to jego nie pierwsza wojna na morzu. Na Holendrze jest zupełnie cicho, pewno piją teraz kawę, i są święcie przekonani, że gdyby nie mgła, to *comodore* też nie kazałby podnosić kotwic, aby nie psuć porannego obrządku picia kawy. Nicco dalej widać wielką sylwetką Grcka. Ten jest wybitnie niezadowolony i nieswojo się czuje. Za duży jest dla tego całego towarzystwa, nie podoba mu się rzeka i zbędny z handlowego punktu widzenia postój na kotwicy. Jedyny na całej redzie, jak może — tak podtrzymuje stare tradycje śródziemnomorców. Pomimo wojny i wścisłej Admiralicji, używa conajmniej trzech rodzajów szarej farby, głównie jednak jest pokryty brązowymi i czerwonymi płatami rdzy.

Ale najwięcej jest Anglików. Pociężne "flat iron", płaskie skrzynki węglowców, które pod mostami zcolgają się aż poza Londyn, parę tysięctonnowych *coasterów*, i całe mrowie okrętów najróżniejszego typu, które spłynęły ku morzu wszystkimi rzekami Zjednoczonego Królestwa.

Wreszcie migają sygnały. Po wodzie donośnie rozlega się huk ciągnionych łańcu- chów, z dziobów tu i ówdzie dobywają się kłęby pary, parę sygnałów dzwonem, i wszyscy kolejno kierują się ku wyjściu. Jest znaczna ilość okrętów, które rozejdą się po wszystkich portach wschodniego wybrzeża, lub pójdą dalej, na Atlantyk. Około południa każdy co sił pcha się na swoje miejsce w konwoju. Idziemy na północ.

Konwój uzyskał już swój kształt. Dwa długie rzędy ciągną po wytyczonym *farwa-*

terze; kręcą się dwa kontrtorpedowce, korweta i parę trawlerów.

Rozpoczyna się normalna podróż w konwoju. Ktoś zgubił swoje miejsce, i śmieszny nieborak — dymiąc ile wlezie z cienkiego, niemal równego masztom kominą, z trudem nadrabia utraconą drogę.

Dobrze po południu, nad horyzontem ukazują się znów błyszczące płatki balonów i ciemne sylwetki. To konwój z północy.

Z przodu kontrtorpedowce, a za nimi takie same dwa, niekończące się szeregi. Ale to zupełnie inny konwój.

Nasz konwój jest jakby odbiciem starej Europy. Pół tuzina bander, w tym nawet jakieś neutralne niedobitki. Tradycja jest jego częścią składową. Niektóre kadłuby noszą jeszcze ślady majsterskiej roboty rzemieślników, którzy w młodości robili jako cieśle na tychże samych stocznich, i swoje cieleśkie sekrety i sposoby przenieśli w epokę stalowych kadłubów.

Filiacje z przeszłością i odrębnościami starej Europy odbijają się na jej pływającym pogłowiu. Nie masz dwu jednakowych okrętów, każdy nosi na sobie indywidualne piętno konstruktorów, stoczni i kraju w którym powstał. Każdy ma inną szybkość, inne rozwiązania i konstrukcję, inną załogę, sam radby sobie wyszukać drogę, i jaknajprędzej stać się sobą, "uciekłszy z konwoju.

Inny jest konwój z północy.

Sunie inaczej. Inne są okręty. Jedna, wspólna bandera.

Nie ma przeglądu budownictwa okrętowego i indywidualnych wysiłków niezliczonych, nieznanych budowniczych.

To jest inny konwój — który powstał na zamówienie, który spływa z bezosobowej ruchomej taśmy nowoczesnego przemysłu. To jest konwój Kaisera, konwój z "Oregon Shipbuilding Company". Budowali go ludzie, którzy nie nigdy nie mieli wspólnego z morzem ani ze stoczniami, którzy nawet dla budowanych przez siebie nowych, nieznanych przedtem części okrętów musieli wymyślić nowe, nieznanne przedtem nazwy, ludzie wolni od wszelkich tradycyjnych atawizmów, pierwsi, którzy na wielką skalę rozpoczęli seryjną, wielkoprzemysłową produkcję.

Ich okręty nie mają przodków, tak jak ich nie mają silniki Forda. Same przyszły na świat. U ich genezy — nie znajdziesz śladu łodzi Vikingów ani dziewiętnastowiecznych kliprów. Są zupełnie inne, standardowe, jednolite, bezosobowe stwory wielkiego przemysłu, który urodził się z dnia na dzień, wprost na zamówienie.

Aż do znużenia mijają nas jednolite, niezmiennie sylwetki, powtarzające się dziesiątki, a może i setki razy. Te same trzy maszty, armata na dziobie, jedna skoncentrowana na środku nadbudówka, pełno pokładowego ładunku w wielkich skrzyniach, i mnóstwo ludzi na pokładzie.

Jest ich w konwoju tak wiele, że cały konwój jest ich konwojem, a wszystko inne ginie, wydaje się dodatkiem, nieważnym drobniactwem.

"Ty wiesz, — pada obok mnie — tam u nich lepiej być za messboya niż u nas za kapitana".

Oczy aż iskrzą się nieukrywaną zazdrością.

Europejski konwój biedaków, zbieranina ze wszystkich brzegów małego półwyspu wielkiej Azji, aż niknie wobec jednolitej, standaryzowanej produkcji z za Oceanu.

Dysproporcja mijających się konwojów już dzisiaj burzy ustalony, tradycyjny porządek rzeczy, do którego wszyscy przyzwyczailiśmy się.

S. ✕ P.

JERZY SZYLING

kapral-podchorąży, uczeń-pilot, zginął śmiercią pilota w sierpniu 1943, przeżywszy lat 21 — o czym zawiadamiają

PRZYJACIELE

Rozwinął skrzydła do lotu,
lecz złamał mu je Los...

Zawiadomienie o śmierci

Przejęty głębokim bólem zawiadamiam o zgonie mej ukochanej Matki

S. ✕ P.

MARJI-TERESY KSIEŻNEJ NA PSZCZYNIE urodzonej CORNWALLIS-WEST

zmarłej w lipcu 1943 r. w Niemczech, gdzie była internowana.

Aleksander Pszczyński

St. Strz. Polish Forces PAI Force 320.

W chwili zakończenia wojny, Stany Zjednoczone będą posiadać po raz pierwszy w historii największą flotę handlową świata, najpotężniej rozbudowany przemysł okrętowy, nie mówiąc już o największych na świecie ośrodkach produkcji przemysłowej i rolniczej.

Na znękaną, tonącą w partykularyzmie, drobnomieszczańską Europę, pada już dzisiaj potężny cień nieuniknionej supremacji z za Oceanu. Mówią o tym nie tylko kształty i wielkość mijających się w morzu konwojów, nie tylko zazdrosne szeptu marynarzy, pogadujących o amerykańskich placach, i o amerykańskim standardzie warunków. Nieograniczona supremacja Stanów Zjednoczonych w okresie powojennym, jest już dzisiaj tematem narad, wyrzuceń, obaw, i bardzo ciekawych przewidywań.

"The Journal of Commerce, Shipbuilding and Engineering", (July 22, 1943) bardzo charakterystycznie formuluje swoje przewidywanie:

"... The United States will have a larger merchant fleet than any other nation when the war is over. Sir Arthur Salter expressed his view — and it appears to be a very sound view — that the share of world shipping will not depend solely, or perhaps mainly, upon the amount of tonnage which happens to be under the flags of different countries at the time when the peace comes. It will depend upon the comparative cost of building and of operation, and the policy of different Governments with regard to support and subsidy, and the general framework of international trade and agreement in other spheres".

I dziennik od siebie dodaje: "We can build ships in this country cheaper than in the United States: we can certainly operate ships as efficiently and probably more economically".

Ot — takie sobie przetłumaczenie optycznych wrażeń na język człowieka gospodarczego i człowieka politycznego.

R. R.

Listy do Redakcji

SPRAWY JĘZYKOWE

Szanowny Panie Redaktorze.

Przeczytałem art. Pański w "Myśli Polskiej" p.n. Demagogia inteligentów. Jest w nim mowa o czystości języka polskiego.

Istnieją trzy obozy:

- 1) jeden za odchwasczeniem języka polskiego,
- 2) drugi za zachwasczeniem (tu jest p. K. Zbyszewski),
- 3) trzeci, najliczniejszy, jest całkiem obojętny na te sprawy.

Nikomu natomiast zdaje się nie przychodzi do głowy sięgnąć do istoty zagadnienia. W naszym wieku lotnictwa, gdy — po wojnie — ludzie w jednym państwie będą mogli zjeść śniadanie, w drugim — obiad, a w trzecim — kolację (mając poza tym możliwość słyszenia języków obcych niemal w każdej chwili, dzięki radiu i filmowi) wysiłki zmierzające do zachowania "czystości" języka są beznadziejne. W wyniku dadzą one tylko utrudnienia, równe zwalczaniu postępu. Są więc niedziedziczne przysługą oddaną Ojczyźnie. Dla dobra przyszłości Polski nie wolno nam odgrażać Jej od świata zaporami językowymi. Przeciwnie, powinniśmy dać Jej możliwość oddechu i rozmachu: **przez pewne umiędzynarodowienie polszczyzny.**

Można tego dokonać bez szkody dla właściwie pojętej czystości językowej. Tu zagadnienie rozwiłam w załączonych broszurach. Najwięcej uwagi poświęcam w nich słownictwu lotniczemu, gdyż jest ono najbardziej narażone na wpływ języków obcych.

Czytelnikom "Myśli Polskiej", którzy chcieliby się bliżej z tym zagadnieniem zapoznać, mogę przysłać broszury (bezpłatnie). Wystarczy kartka pod moim adresem: P. P. Jabłowski, c/o British Monomark Ltd., BM/JABLOWSKI, London, W.C.1.

Byłbym bardzo wdzięczny za umieszczenie powyższego listu w Pańskim poczytnym piśmie. Zręby uprzejmie dziękuję.

Z poważaniem

P. P. JABLOWSKI

(Od Redakcji: "Myśl Polska" zasadniczo nie zgadza się z tezą Autora listu o "pewnym umiędzynarodowieniu polszczyzny".)

OD WYDAWNICTWA

Wobec nieuniknionej zwłoki technicznej w założeniu aparatu telefonicznego w nowym lokalu "Myśli Polskiej", którego adres podany jest niżej, zawiadamiany P. T. Czytelników, iż o uruchomieniu telefonu ogłosimy w najbliższym czasie w naszym piśmie.

TREŚĆ Nr. 54 "Myśli Polskiej":

PONAD KONIUNKTURĄ i POZA DOKTRYNĄ — P.J.; O PODSTAWĘ POWOJENNEGO ŚWIATA — Junius; HORYZONT WOJENNY — Zastępca; Z TEJ STRONY NIEMNA (Wiersz) — Zofia Brochocka-Ilińska; NOTY I UWAGI; Jak pracuje Ministerstwo Informacji; Obszarnicy i parcelacja. DWA KONWOJE — R. R. LISTY DO REDAKCJI; NEKROLOGI.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca. Redakcja i Administracja: 24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/- lub \$2. Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/- lub \$4.